

Na jasnym brzegu



HENRYK SIENKIEWICZ

Na jasnym brzegu

NOWELA

I

Malarz siedział w otwartym powozie obok pani Elzenowej, mając naprzeciw dwóch jej bliźniaków, Romulusa i Remusa, i częścią rozmawiał, częścią rozmyślał o położeniu, które wymagało prędkiego rozwiązania, częścią patrzył na morze. Patrzyć było na co. Jechali od strony Nizy ku Monte Carlo, tak zwaną starą Korniszą, to jest drogą, ciągnącą się wzdłuż wiszarów, wysoko nad morzem. Z lewej strony zasłaniały im widok urwiska spiętrzone, szare, z odcieniem różanym, perlowym — i całkiem nagie, z prawej natomiast błękitniała toń Śródziemnego morza, która zdawała się leżeć ogromnie nisko, czyniąc przez to wrażenie zarazem przepaści i nieskończoności. Z wyniesienia, na którym byli, małe statki rybackie wyglądały jak białe plamki, tak, że nieraz trudno było odróżnić daleki żagiel od krążącej nad roztoczą mewy.

Pani Elzenowa oparła się ramieniem o ramię Swirskiego z twarzą kobiety upojonej, która nie zdaje sobie sprawy z tego co czyni i poczęła wodzić rozmarzonymi oczyma po morskim zwierciadle.

A Swirski odczuł dotknięcie, dreszcz rozkoszy przebiegł go od stóp do głów i pomyślał, że gdyby w tej chwili nie było przed niemi Romulusa i Remusa, to możeby otoczył ramieniem młodą kobietę i przycisnął ją do piersi.

Ale zarazem zdjął go pewien strach na myśl, że wówczas wahania musiałyby się skończyć i położenie byłoby rozwiązane.

Tymczasem pani Elzen rzekła:

— Zatrzymaj pan powóz.

Swirski zatrzymał powóz i przez chwilę pozostali w milczeniu.

— Jak tu cicho, po gwarze w Monte Carlo! — ozwała się znów młoda wdowa.

— Słyszę tylko muzykę — odrzekł malarz — może grają na pancernikach w Ville Franche.

Istotnie z dołu dochodziły od czasu do czasu przytłumione tony muzyki, niesione przez ten sam powiew, który przynosił zapach pomarańczowego kwiatu i heliotropów. W dole widać było dachy rozrzuconych na pobrzeżu willi, ukrytych w gąszczu eukaliptów, a obok nich rozległe plamy białe, utworzone przez kwitnące migdały i plamy różowe, utworzone z kwiecica brzoskwiń. Jeszcze niżej, widniała modra, zalana słońcem zatoka Ville Franche z rojem wielkich statków.

Życie, wrzące na dole, stanowiło też dziwne przeciwieństwo z głuchą martwością gór pustych i bezpłodnych, nad którymi rozciągało się niebo bez chmur, tak przezrocze, że aż szkliste i obojętne. Tu nikło i małało wszystko wśród spokojnych ogromów i ten powóz z gromadką ludzi zdawał się być jakimś żukiem, przylepionym do skał, który wpełznął zuchwale aż na te wyżyny.

— Tu kończy się całkiem życie — rzekł Swirski, spoglądając na nagość skał.

Na to pani Elzen oparła się jeszcze silniej na jego ramieniu i odpowiedziała rozwlekłym, sennym głosem:

— A mnie się zdaje, że tu się zaczyna.

Swirski zaś odrzekł po chwili z pewnem wzruszeniem.

— Może pani ma słuszość.

I spojrział na nią pytającym wzrokiem. Pani Elzen podniosła również na niego oczy, ale wnet pokryła je powiekami, jakby zmieszana, i pomimo, że na przedniej ławce powozu siedziało dwóch jej chłopców, wyglądała w tej chwili jak młoda dziewczyna, której źrenice nie mogą znieść pierwszego blasku miłości. Poczem umilkli oboje; z dołu tylko dolatywały rozwiane dźwięki muzyki.

Tymczasem zdala na morzu, przy samem wejściu do zatoki ukazał się pióropusz dymu i wnet uroczysty, pełen ciszy nastrój został zamącony przez Remusa, który, zerwawszy się z siedzenia, zawołał:

— *Tiens! le Fohmidable!*

Pani Elzen rzuciła niechętnie spojrzenie na młodszego ze swych bliźniaków. Żal jej było tej chwili, w której każde następne słowo mogło stanowczo zaważyć w jej losach:

— *Remus* — rzekła — *veux-tu te taire?*

— *Mais maman c'est Fohmidable!*

— Co za nieznośny chłopak!

— *Poubquoi?*

— On jest *dubeń*, ale tym razem ma słuszność — ozwał się nagle Romulus — wczoraj byliśmy w Ville Franche (tu zwrócił się do Swirskiego). Pan nas widział jechać na bicyklach — i powiedziano nam, że cała eskadra już jest, z wyjątkiem Formidabla, który ma jutro nadejść.

Na to Remus odrzekł z silnym akcentem na każdej ostatniej zgłosce:

— Tyś sam *duheń!*...

I poczęli się wzajem kuksać łokciami. Pani Elzen wiedząc z doświadczenia, jaki niesmak budzi w Swirskim sposób, w jaki ci chłopcy mówią, i w jaki wogóle zostali wychowani, kazała im być cicho, poczem rzekła:

— Zapowiedziałam i wam i panu Kresowiczowi, żebyście nie mówili inaczej z sobą, jak po polsku.

Kresowicz był to student z Zurychu, z początkiem choroby piersiowej, którego pani Elzen odnalazła na Riwierze i zgodziła jako guwernera do dzieci, po poznaniu Swirskiego, a zwłaszcza po głośnem oświadczeniu złośliwego i bogatego pana Wiadrowskiego, że poważne domy nie chowają już dzieci na komiwojazerów.

Tymczasem jednak Bogu ducha winny »Formidable« popsuł nastrój wrażliwemu malarzowi. Po chwili, powóz, zgrzytając po kamieniach, ruszył dalej.

— To pan wstawiał się za nimi, żeby ich zabrać — ozwała się słodkim głosem pani Elzen — pan dla nich zbyt dobry. Ale tu trzeba kiedy przyjechać w nocy, przy księżycu. Czy chce pan dziś?

— Chcę zawsze — odpowiedział Swirski — ale dziś niema księżycy i obiad pani skończy się zapewne późno.

— Prawda — rzekła pani Elzenowa — ale niech mi pan da znać, jak będzie pełnia. Szkoda, że nie prosiłam pana samego na ten obiad... Przy pełni księżycy musi być tu ślicznie, choć na tych wysokościach dostaję zawsze bicia serca. Żeby pan mógł wiedzieć, jak mi w tej chwili bije i bije... ale niech pan zobaczy puls: widać nawet przez rękawiczkę.

To rzekłszy, odwróciła dłoń, opiętą tak ciasno w duńską rękawiczkę, że niemal zwinęta w trąbkę, i wyciągnęła ją ku Swirskiemu. On wziął ją w obie ręce i począł patrzeć:

— Nie — rzekł — nie widać dobrze, ale można będzie usłyszeć.

I pochyliwszy głowę, przyłożył ucho do guzików rękawiczki, na chwilę przycisnął ją silnie do twarzy, poczem musnął nieznacznie ustami i rzekł:

— Jak za moich dziecinnych lat udało mi się czasem złapać ptaka, to w nim tak samo serce biło: zupełnie, jak w złapanym ptaku!

A ona uśmiechnęła się prawie smutno i powtórzyła:

— ...Jak w złapanym ptaku...

Po chwili jednak zapytała:

— A co pan robił ze złapanymi ptakami?

— Przywiązywałem się do nich ogromnie. Ale one zawsze odlatywały...

— Niepocziwe ptaki...

Malarz zaś mówił dalej z pewnem wzruszeniem:

— I tak się jakoś życie składało, żem próżno szukał takiego, któryby chciał zostać przy mnie; aż wreszcie straciłem i nadzieję.

— Nie! niech pan ufa — odpowiedziała pani Elzenowa.

Na to Swirski pomyślał sobie, że, skoro się rzecz zaczęła od tak dawna, to należy ją skończyć, a potem będzie, co Bóg da. Miał w tej chwili wrażenie człowieka, który zatyka sobie palcami oczy i uszy, aby skoczyć do wody, ale zarazem czuł, że tak trzeba i że nie czas na namysł.

— Może dla pani będzie lepiej przejść się trochę — rzekł. — Powóz pójdzie za nami, a oprócz tego będziemy mogli mówić swobodnie.

— Dobrze — odrzekła zrezygnowanym głosem pani Elzen.

Swirski trącił laską woźnicę, powóz stanął i wysiedli. Romulus i Remus, pobiegłszy zaraz naprzód, zatrzymali się dopiero o kilkadziesiąt kroków na przedzie, aby spoglądać z góry na domy w Eze i staczać kamienie ku rosnącym w dole oliwkom. Swirski i pani Elzenowa zostali sami, lecz widocznie ciążyła nad niem i tego dnia jakaś fatalność, zanim bowiem mogli skorzystać z chwili, ujrzeni, jak przy Romulusie i Remusie zatrzymał się nadjeżdżający od strony Monaco jeździec, za którym widać było ubranego po angielsku grooma.

— To de Sinten — rzekła z niecierpliwością pani Elzenowa.

— Tak, poznaję go.

Jakoż po chwili spostrzegli przed sobą końską głowę, a nad nią końską twarz młodego de Sintena. Ów zawahał się, czy nie skłonić się i nie przejechać, ale pomyślawszy widocznie, że gdyby chcieli być sami, to nie braliby z sobą chłopców, zeskoczył z konia i skinąwszy na grooma, począł się witać.

— Dzień dobry — odpowiedziała nieco sucho pani Elzen — czy to pańska godzina?

— Tak. Zrana strzelam z Wilkisbeyem do gołębi, więc nie mogę jeździć, by sobie nie rozbijać pulsów. Mam już siedm gołębi więcej od niego. Czy państwo wiedzą, że Formidable dziś przyjeżdża do Ville Franche i że pojutrze admirał daje bal na pokładzie?

— Widzieliśmy jak wjeżdżał.

— Ja właśnie jechałem do Ville Franche, żeby się zobaczyć z jednym z moich znajomych oficerów, ale to już zapóźno. Jeśli pani pozwoli, to wrócę razem do Monte Carlo.

Pani Elzen skinęła głową i poszli razem. Sinten, będąc z zawodu koniarzem, począł zaraz mówić o swoim »hunterze«, na którym przyjechał.

— Kupiłem go od Waxdorfa — mówił. Waxdorf zgrał się w *trente et quarante* i potrzebował pieniędzy. Trzymał na *inverse* i trafił na seryę z szczęściem, ale potem karta się zmieniła. (Tu zwrócił się do konia). Czysta irlandzka krew i szyję dają, że lepszego huntera niema na całej Korniszy, tylko do wsiadania trudny.

— Narowny? — spytał Swirski.

— Gdy się raz na nim siedzi — jak dziecko. Do mnie się już przyzwyczaił, ale panbyś naprzykład na niego nie siadł.

Na to Swirski, który w rzeczach sportu był próżny aż do dzieciństwa, odrzekł zaraz:

— A to jakim sposobem?

— Nie próbuj pan, a przynajmniej nie tu, nad przepaścią — zawołała pani Elzen.

Ale Swirski trzymał już rękę na karku końskim i w mgnieniu oka później siedział na siodle, bez najmniejszego oporu ze strony konia, który może nie był wcale narowny, a może też rozumiał, że na zrębie skalistym, nad przepaścią, lepiej jest nie pozwalać sobie na wybryki.

Jeździec i koń zniknęli następnie w krótkim galopie na zakręcie drogi.

— On nieźle siedzi — rzekł de Sinten — ale podbije mi szkapę. Tu właściwie niema nigdzie dróg do końskiej jazdy.

— Pański koń okazał się zupełnie spokojny — rzekła pani Elzenowa.

— Z czego bardzo się cieszę, bo tu o wypadek łatwo — i trochę się bałem.

Na twarzy jego odbiło się jednak pewne zakłopotanie, najprzód dlatego, że to, co opowiadał o oporności konia przy wsiadaniu, wyglądało jak kłamstwo, a powtóre dlatego, że między nim a Swirskim była ukryta niechęć. De Sinten nie miał wprawdzie nigdy poważnych zamiarów względem pani Elzen, ale wolałby był, żeby mu nikt nie przeszkadzał i w takich, jakie miał. Prócz tego przed kilku tygodniami przemówili się ze Swirskim dość żywo. Sinten, który był arystokratą nieprzejednanym, oświadczył był raz na obiedzie

u pani Elzen, że *według niego* człowiek zaczyna się od barona. Na to Swirski, w chwili złego humoru zapytał: „w którą stronę?” Młody człowiek wziął tę odpowiedź tak do serca, że począł naradzać się z panem Wiadrowskim i radcą Kładzkim, jak ma postąpić — i wówczas z prawdziwym zdumieniem dowiedział się od nich, że Swirski ma mitrę w herbie. Wiadomość o niezwykłej sile fizycznej Swirskiego i biegłości jego w strzelaniu, wpłynęła również uspakajająco na nerwy barona, dość, że przemówienie się nie miało następstw, zostawiło tylko pewną niechęć w obydwóch sercach. Zresztą, od czasu, gdy pani Elzen zdawała się przechylać stanowczo na stronę Swirskiego, niechęć owa stała się zupełnie platoniczną.

Malarz odczuwał ją jednak silniej. Nikt wprawdzie nie przypuszczał, by sprawa mogła skończyć się małżeństwem, ale między znajomymi zaczęto już mówić o jego sentymencie dla pani Elzenowej, on zaś podejrzewał, że Sinten i jego kompania podrywają z niego. Ci wprawdzie nie zdradzili się z tem nigdy najmniejszym słowem, w Swirskim jednak tkwiło przekonanie, że tak jest i bolało go to, głównie ze względu na panią Elzenową.

Rad też był teraz, że dzięki pokojowemu usposobieniu konia, Sinten wyszedł na człowieka, który bez powodu nawet opowiada rzeczy nieprawdziwe, więc wróciwszy, rzekł:

— Dobry koń i właśnie dlatego dobry, że spokojny jak owca.

Poczem zsiadł i szli razem dalej, we troje, a nawet w pięcioro, bo Romulus i Remus trzymali się teraz blisko. Pani Elzen, na złość Sintenowi, a może w chęci pozbycia się go, zaczęła mówić o obrazach i wogóle o sztuce, o której młody sportsmen nie miał najmniejszego pojęcia. Ale on począł trzęść plotki z domu gry, przyczem wieszował młodej pani wczorajszej weny, czego słuchała z przymusem, wstydząc się przed Swirskim, że brała udział w grze. Zakłopotanie jej powiększyło się jeszcze, gdy Romulus rzekł:

— *Maman*, a nam mówiłaś, że nigdy nie grywasz. Daj nam za to po ludwiku, dobrze?

Ona zaś odrzekła, jakby nie mówiąc do nikogo z osobna:

— Szukałam radcy Kładzkiego, by go zaprosić na dziś na obiad, poczem bawiliśmy się trochę.

— Daj nam po ludwiku! — powtórzył Romulus.

— Albo kup nam małą ruletkę — dodał Remus.

— Nie nudźcie mnie i siadajmy do powozu.

Do widzenia, panie Sinten.

— O siódmej?

— O siódmej.

Poczem rozstali się i po chwili Swirski znalazł się znów koło pięknej wdowy, lecz tym razem zajęli przednie siedzenie, chcąc patrzeć na zachodzące słońce.

— Mówią, że Monte Carlo lepiej nawet osłonięte, niż Mentona — rzekła wdowa — ale, ach! jak ono mnie czasem męczy! Ten ciągły gwar, ten ruch, te znajomości, które trzeba robić, chcąc nie chcąc. Czasem mam ochotę uciec stamtąd i resztę zimy spędzić gdzieś w jakim cichym kącie, gdziebym mogła widywać tylko tych ludzi, których chcę widywać. Która z miejscowości najlepiej się panu podoba?

— Lubię bardzo St. Raphael: pinie schodzą tam aż do morza.

— Tak, ale to daleko od Nizy — odrzekła cichym głosem — a w Nizy pan ma pracownię.

Nastała chwila milczenia, poczem pani Elzenowa znów zapytała:

— A Antibes?

— Prawda! zapomniałem o Antibes.

— I to tak blisko Nizy. Po obiedzie niech pan zostanie dłużej, pogadamy, dokądby od ludzi uciec.

A on spojrzal jej w głąb oczu i zapytał:

— Czy pani naprawdę chciałaby uciec od ludzi?

— Mówmy otwarcie, — odpowiedziała — w pytaniu pana odczuwam wątpliwość. Pan mnie podejrzewa, że mówię dlatego, by się przedstawić panu lepszą, albo przynajmniej mniej powierzchowną, niż jestem... I ma pan prawo tak myśleć, widząc mnie ciągle w wirze światowym. Ale ja na to odpowiem, że nieraz człowiek idzie pędem nabytym, dlatego tylko, że raz popchnięto go w pewnym kierunku... i znosi wbrew woli następstwa poprzedniego życia. Może, co do mnie, jest w tem słabość kobiety, która bez cudzej

pomocy nie umie się zdobyć na energię — przyznając... Ale nie przeszkadza to tęsknić bardzo szczerze za jakimś cichym kątem i za życiem spokojniejszym. Niech co chcą mówią, ale my jesteśmy jak pnące się rośliny, które jeśli nie mogą pisać się ku górze, to pełzają po ziemi... I dlatego często ludzie myślą się, myśląc, że pełzamy dobrowolnie. Przez to pełzanie rozumiem tylko życie czcze... światowe, bez żadnej wyższej myśli. Ale jak ja, na przykład, mogę się temu obronić!... Prosi ktoś znajomego, by mi go przedstawił, a potem składa wizytę — a potem drugą, trzecią i dziesiątą... Cóż mam na to poradzić? nie prosić go? Dlaczego?... Owszem! proszę, choćby dlatego, że im więcej mam u siebie ludzi, tem bardziej wzajem się zobojętniają i tem bardziej nikt nie może zająć wyłącznego stanowiska.

— W tem pani ma słusność — rzekł Swirski.

— A widzi pan. Ale też w ten sposób tworzy się ten prąd światowego życia, z którego wyrwać się o własnej mocy nie mogę, a które często tak mnie nuży i nudzi, że mi się chce płakać ze zmęczenia.

— Wierzę pani.

— Pan powinien mi wierzyć, ale niech pan wierzy też i w to, że jestem lepsza i mniej pusta, niż się wydaję. Gdy pana opadną wątpliwości, albo gdy ludzie będą o mnie źle mówili, niech pan pomyśli sobie tak: przecie i ona musi mieć jakieś dobre strony. Jeśli pan tak nie pomyśli, to będę bardzo nieszczęśliwa.

— Daję pani słowo, że ja zawsze wolę o pani myśleć jak najlepiej.

— I tak trzeba — odrzekła miękkiem głosem — bo choćby też wszystko, co jest we mnie dobre, było jeszcze bardziej zagłuszone, przy panu odżyłoby na nowo... To tak zależy od tego, z kim się człowiek zbliży... Chciałabym coś powiedzieć, ale boję się...

— Niech pani powie...

— Ale nie posądzi mnie pan o egzaltację, ani o nic gorszego?... Nie, ja nie jestem egzaltowaną; mówię, jak kobieta trzeźwa, która stwierdza tylko to, co jest rzeczywiście i trochę się dziwi. Otóż przy panu odnajduję swoją dawną duszę, taką spokojną i pogodną, jak miałam wówczas, gdy byłam dziewczyną... A przecie ze mnie babina... mam trzydzieści pięć lat...

Swirski spojrział na nią z twarzą jasną i niemal rozkochaną, poczem podniósł zwolna do ust jej rękę i rzekł:

— Ach! Przy mnie pani naprawdę jest jeszcze dzieckiem: ja mam czterdzieści ośm — i oto mój obraz!...

To rzekłszy, ukazał ręką na zachodzące słońce.

Ona zaś zaczęła patrzeć na ów blask, który odbijał się w jej rozpromienionych oczach i mówić z cicha, jakby do siebie:

— Wielkie, cudne, kochane słońce!...

Poczem nastąpiło milczenie. Na twarze obojga padało spokojne, czerwone światło. Słońce istotnie zachodziło wielkie i cudne. Niżej pod niem, lekkie, porozwiewane chmurki przybierały kształty lilii palmowych i świeciły złotem. Morze przy brzegu pogrążone było w cieniu — dalej natomiast, na pełni, leżał blask niezmierny. W dole nieruchome cyprysy odrzynały się wyraźnie na liliowym tle powietrza.

II.

Goście, zaproszeni przez panią Elzen, zebrali się w Hôtel de Paris o godzinie siódmej wieczorem. Dano im osobną salę, wraz z mniejszym przyległym salonikiem, w którym po obiedzie miała być podana kawa. Pani zapowiadała wprawdzie obiad »bez ceremonii« — mężczyźni jednak, wiedząc, co o tem myśleć, przybyli we frakach i białych krawatach, ona sama zaś wystąpiła w blad różowej wyciętej sukni, z jedną wielką fałdą, idącą z tyłu od wierzchu stanika, aż do dołu. Wyglądała świeżo i młodo. Twarz bowiem miała drobną, a głowę małą, czem głównie na początku bliższej znajomości zachwycała Swirskiego. Obfite jej ramiona, miały w tych zwłaszcza miejscach, gdzie ciało wychylało się z sukni, ton i przezroczystość muszli perłowej, ręce natomiast od ramion do łokci były lekko czerwone i jakby spierzchnięte. Ale potęgowało to tylko wrażenie ich nagości. Wogóle biła od niej wesołość, dobry humor i ten jakowyś blask, który mają w sobie kobiety w chwilach, gdy czują się szczęśliwe.

Z zaproszonych, prócz Swirskiego i de Sintena, przybył stary radca Kładzki, z synowcem Zygmuntem, młodym szlachcicem, niezbyt obytym, ale zuchwałym, któremu oczy świeciły aż zbyt wyraźnie do pani Elzen, i który tego nie umiał ukryć; dalej księżę Walerj Porzecki, człowiek czterdziestoletni, lisy, z wielką twarzą i spiczastą czaszką Azteka; pan Wiadrowski, bogaty i złośliwy, posiadacz kopalni ropy w Galicyi, a zarazem miłośnik sztuki i artysta dyktant, a wreszcie Kresowicz, student i czasowy nauczyciel Romulusa i Remusa, którego pani Elzen prosiła także, albowiem Swirski lubił jego fanatyczną twarz.

Młodej gospodyni chodziło zawsze, a tembardziej teraz, o to, by mieć u siebie salon, jak się wyrażała, »intelektualny«. Nie mogła jednakże z początku odwrócić rozmowy od miejscowych plotek i wypadków z domu gry, który Wiadrowski nazywał »słowiańszczyzną«, utrzymując, że więcej się tam słyszy słowiańskich języków, niż każdych innych. Życie schodziło wogóle Wiadrowskiemu w Monte Carlo na przedrwiwaniu własnych rodaków i innej młodszej braci słowiańskiej. Był to jego konik, na którego rad siadał i galopował bez wytchnienia. Zaraz więc zaczął opowiadać, jak parę dni temu w „*Cerele de la Méditerranée*” o godzinie szóstej rano zostało przy grze tylko siedm osób, a wszystkie pochodzenia słowiańskiego.

— Z tem się już rodzimy — rzekł, zwracając się do gospodyni. — Gdzieindziej, widzi pani, ludzie rachują w ten sposób: dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście etc., ale każdy prawdziwy Słowianin powie mimowoli: dziewięć, dziesięć, walet, dama, król... Tak!... Na Korniszę przyjeżdża śmietanka naszego towarzystwa, a tu wyciskają z niej ser.

Na to księżę Walerj, ze spiczastą czaszką, wygłosił tonem człowieka, który odkrywa nieznaną prawdę, że wszelka namiętność, która przebiera miarę, jest zgubną, ale że do „*Cerele de la Méditerranée*” należy wielu dystyngowanych cudzoziemców, z którymi warto i pożytecznie jest zabrać znajomość. Wszędzie można służyć krajowi. Oto on spotkał tam przed trzema dniami Anglika, przyjaciela Chamberlaina, który to Anglik wypytywał go o nasze krajowe stosunki, on zaś opisał mu na bilecie wizytowym stan ekonomiczny i polityczny, położenie wogóle, a w szczególności aspiracje społeczne. Bilet ten dojdzie niewątpliwie do rąk, jeśli nie Chamberlaina, którego tu niema, to Salisburego, co będzie jeszcze lepiej. Prawdopodobnie też spotkają się z Salisburym na balu, który ma wydać admirał francuski — i podczas którego cały Formidable ma być oświecony *à giorno* elektrycznością.

Kresowicz, który był nietylko suchotnikiem, ale i człowiekiem z innego obozu i nie-nawidził tego towarzystwa, w którym, jako guwerner Romulusa i Remusa, musiał się obracać, usłyszawszy o bilecie wizytowym, zaczął parskać ironicznie i zarazem zjadliwie, jak hyena, pani Elzen zaś, chcąc odwrócić od niego uwagę, rzekła:

— Tu jednak ludzie cudów dokazują: ja słyszałam, że cała droga od Nizy aż do Marsylii ma być oświecona elektrycznością.

— Robił taki plan inżynier Ducloz — rzekł Swirski — ale umarł przed paru miesiącami. Był to taki zapalony elektryk, że podobno przykazał w testamencie, by jego grób oświecony był elektrycznością.

— To — rzekł Wiadrowski — powinien mieć na grobie napis: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość elektryczna niechaj mu świeci na wieki wieków, amen!”

Lecz stary radca Kładzki napadł na niego, że żartuje z rzeczy poważnych, które się do konceptów nie nadają, poczem zaczął napadać na całą Rywierę. Wszystko to tylko pozór i błaga, począwszy od ludzi, a skończywszy na rzeczach. Wszędzie niby „markizy, komty i wikomty”, a tylko pilnuj, żeby ci który chustki od nosa nie wyciągnął. Co do wygód, to samo. W jego kancelaryi w Wieprzkowiskach zmieściłoby się pięć takich ciup, jak ta, którą mu dali w hotelu. Wysłali go doktorzy do Nizy na świeże powietrze, a *Promenade des Anglais* cuchnie, jak krakowskie podwórko. Dalibóg, cuchnie! siostreniec jego, Zygmunt, może zaświadczyć.

Ale Zygmuntemu oczy wylazły z głowy do ramion pani Elzen i nie słyszał, co się mówi.

— Przenieś się radca do Bordyghery — rzekł Swirski — brud włoski jest przynajmniej artystyczny, a francuski — plugawy.

— A pan jednak mieszka w Nizy?

— Bo po tamtej stronie Ventimilii nie znalazłbym pracowni. Zresztą ja, jeśli się przeniosę, to raczej w stronę przeciwną — do Antibes.

To powiedziawszy, spojrzal na panią Elzenową, która uśmiechnęła się kącikami ust i spuściła oczy.

Po chwili zaś, pragnąc widocznie naprowadzić rozmowę na tory artystyczne, poczęła mówić o wystawie u Rumpelmayera i o nowych obrazach, które oglądała dwa dni temu, a które towarzyszący jej francuski dziennikarz Krauss nazwał impresjonistyczno-dekadencjami. Na to Wiadrowski podniósł widelec do góry i zapytał tonem Pyrrona:

— Co są wogóle dekadenci?

— Pod pewnym względem — odpowiedział Swirski — są to ludzie, którzy wolą od sztuki samej rozmaite sosy, z którymi sztuka bywa przyprawiana.

Książę Porzecki czuł się jednak dotknięty tem, co stary Kładzki mówił o „markizach, komtach i wikomtach”. Nawet szubrawcy, którzy tu przyjeżdżają, należą do wyższego gatunku szubrawców i nie zadawalniają się wyciąganiem chustki od nosa. Tu spotyka się korsarzy w wielkim stylu. Ale obok nich przyjeżdża wszystko, co w świecie jest najwykwintniejsze lub najbogatsze, że zaś wysokie finanse spotykają się tu na równej stopie z wysokim urodzeniem — to właśnie dobrze, bo niech się świat poleruje! Pan Kładzki powinienby przeczytać taką *Idylle Tragique*, a wówczas przekonałby się, że obok ludzi podejrzanych, spotyka się tu i najwyższe „sfery społeczne” — „takie właśnie, jakie spotkamy na Formidablu, który przy tej sposobności ma być oświecony *à giorno* elektrycznością”.

Porzecki zapomniał widocznie, że wiadomość o oświeceniu Formidabla podał już poprzednio do publicznej wiadomości. Jakoż tym razem nie stała się już ona osią rozmowy, a natomiast poczęto mówić o *Idylle Tragique*. Młody Kładzki, mówiąc o bohaterze tej powieści, zauważył, iż „takiemu było dobrze” — ale że był głupi, wyrzekając się kobiety dla przyjaciela i że on, Kładzki, nie zrobiłby tego dla dziesięciu przyjaciół, a nawet dla rodzonego brata, „bo to swoją drogą, a to swoją!” Lecz Wiadrowski odebrał mu głos, albowiem powieści francuskie, w których się zaczytywał, był to drugi jego konik, na którym uprawiał szkołę wyższej jazdy po autorach i ich utworach.

— Co mnie do ostatniej pasy doprowadza — rzekł — to ta sprzedaż farbowanych lisów za prawdziwe. Jeśli ci panowie są realistami, niech piszą prawdę. Czyście państwo zauważyli ich bohaterki? Oto zaczyna się tragedia: dobrze! taka dama walczy ze sobą, »demenuje« się najokropniej przez pół tomu, a ja, dalibóg, od pierwszej stronicy wiem, co się stanie i jak się skończy. Jakie to nudne i ile razy się to już powtarzało! Ja się na lafiryndy zgadzam i na ich prawo do literatury także, tylko niech mi nie sprzedają lafiryndy za tragiczną kapłankę. Co mi za tragedia, skoro wiem, że taka rozdartą dusza miała przed tragedią kochanków i będzie ich miała po tragedii... Będzie się znów »demenowała« jak poprzednio i wszystko skończy się znów tak samo. Co to za fałsz, co za zatura zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i co za zawracanie głów. I pomyśleć, że się to u nas czyta, że ten towar przyjmuje się jako dobry, te farsy buduarowe jako dramat — i że bierze się to poważnie. W ten sposób zaciera się różnica między poczciwą kobietą a gamratką i wyrabia się prawo towarzyskiego obywatelstwa kukułkom, które nie mają własnych gniazd. Potem taka pożąta francuska przychodzi na nasze lale i te dopiero sobie pozwalają pod egidą podobnych autorów! Ni zasad, ni charakterów, ni poczucia obowiązku, ni zmysłu moralnego — nic, tylko fałszywe aspiracje i fałszywa poza na psychologiczną zagadkowość!

Wiadrowski nadto był inteligentny, by nie miał rozumieć, że mówiąc w ten sposób rzuca poniekąd kamieniem w panią Elzenową, ale był to człowiek nawskróś złośliwy — mówił więc tak umyślnie. Pani Elzenowa słuchała też słów jego z tem większem niezadowolaniem, im więcej było w nich prawdy. Swirskiego paliła ochota odpowiedzieć szorstko, rozumiał jednak, że nie wypada brać rzeczy tak, jakby słowa Wiadrowskiego mogły mieć jakieś przystosowanie, wołał więc poruszyć rzecz z innej strony.

— Mnie uderzało zawsze we francuskich powieściach co innego — rzekł — a mianowicie, że to jest świat bezpłodnych kobiet. Gdzieindziej, gdy się dwoje ludzi kocha w sposób prawy, czy nie w prawy — następstwem związku bywa dziecko, tu zaś nikt nie ma dzieci. Jakie to dziwne! Bo tym panom, którzy piszą powieści, zdaje się, że nie przychodzi nawet na myśl, że miłość może nie pozostać bezkarną.

— Jakie społeczeństwo, taka literatura — odrzekł stary Kładzki. — Wiadomo przecież, że ludność we Francji zmniejsza się. W wyższych sferach dziecko — to osobliwość!

— *Mais c'est plus commode et plus élégant* — wtrącił Sinten.

Lecz Kresowicz, który parskał już poprzednio, rzekł teraz:

— Literatura sytych próżniaków, która musi zginąć wraz z nimi.

— Jak pan powiada? — spytał Sinten.

Student zwrócił ku niemu swą zawziętą twarz:

— Powiadam: literatura sytych próżniaków!

A Porzecki znów odkrył Amerykę:

— Każdy stan ma swoje obowiązki i swoje przyjemności — rzekł. — Ja mam dwie namiętności: politykę i fotografię.

Lecz obiad zbliżał się ku końcowi — i w kwadrans później wszyscy przeszli do przyległego saloniku na kawę. Pani Elzenowa zapaliła cieniuchnego papierosa i wsparłszy się wygodnie o poręcz fotelu, założyła nóżkę na nóżkę. Zdawało się jej, że pewne zaniedbanie powinno podobać się Swirskiemu, jako artyście i trochę cyganowi. Że jednak była stosunkowo niskiego wzrostu i nieco szeroka w biodrach, przeto przy skrzyżowaniu nóg, suknia jej podnosiła się zbyt wysoko. Młody Kładzki upuścił zaraz zapalną i począł szukać jej na ziemi, tak długo, że radca stryj trącił go nieznacznie w bok i szepnął z gniewem:

— Jak ci się zdaje? gdzie ty jesteś?

A młody szlachcic wyprostował się i odszepnął:

— Właśnie, że nie wiem.

Pani Elzenowa wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni, nawet dobrze wychowani, gdy tylko choć trochę mogą sobie pozwolić, stają się grubianami, zwłaszcza wobec kobiet bez opieki. Teraz nie zauważyła wprawdzie ruchu młodszego Kładzkiego, ale spostrzegłszy jego niedbały i niemal cyniczny uśmiech, z jakim odpowiadał stryjowi była pewną, że mówi o niej. I w sercu uczuła wzdargę dla całego tego towarzystwa, z wyjątkiem Swirskiego i Kresowicza, którego podejrzewała, że przy całej swej nienawiści socjalnej do kobiet jej sfery, kocha się w niej. Ale niemal do ataku nerwowego doprowadził ją tego wieczora Wiadrowski, zdawało się bowiem, iż uwziął się, by za to, co zjadł i wypił, zatruć jej każdą łyżeczkę kawy i każdą chwilę. Mówił ogólnie i niby przedmiotowo o kobietach, nie przekraczając granic przyzwoitości, a jednak na dnie jego słów był nietylko cynizm, ale i pełno aluzji do charakteru pani Elzen i jej położenia towarzyskiego, wprost obraźliwych i niezmiernie dla niej przykrych, zwłaszcza wobec Swirskiego, który i cierpiał i niecierpliwiał się jednocześnie.

To też kamień spadł jej z serca, gdy goście nakoniec rozeszli się i gdy został sam malarz.

— Aa! — zawołała, oddychając głęboko — mam początki migreny i sama nie wiem, co się ze mną dzieje!

— Zmęczyli panią?

— Tak, tak — i więcej niż zmęczyli!...

— Dlaczego pani ich zaprasza?

Ona zaś, jakby nie panując dłużej nad nerwami, zbliżyła się gorączkowo ku niemu:

— Niech pan siada i niech pan się nie rusza! Nie wiem... może zgubię się w oczach pańskich, ale ja potrzebuję tego, jak lekarstwa... O tak!... Chwilę tak zostać przy uczciwym człowieku... Ot tak!...

To rzekłszy, siadła koło niego i wsparłszy głowę na jego ramieniu, przymknęła oczy...

— Chwilę tak!... chwilę!

I nagle powieki jej zrosiły się obficie, lecz poczęła przykładając raz po raz palce do ust, na znak Swirskiemu, by nic nie mówił i jej pozwolił pozostać w milczeniu.

On zaś wrzucił się, gdyż zawsze na widok łez kobiecych miękł jak wosk. Ufność, jaką mu okazała, ujęła go i napełniła mu serce tkliwym uczuciem. Zrozumiał też, że chwila stanowcza nadeszła, więc otoczywszy ją ramieniem, rzekł:

— Zostań pani przy mnie na zawsze, daj mi do siebie prawo.

Pani Elzenowa nie odpowiedziała, tylko z oczu płynęły jej ciągle łzy duże a ciche.

— Bądź moją — powtórzył Swirski.

Wówczas zarzuciła mu rękę na drugie ramię i przygarnęła się do niego, jak dziecko przygarnia się do matki.

A Swirski, pochyliwszy się, ucałował jej czoło, poczem zaczął wycalowywać łzy z oczu — i stopniowo ogarniał go płomień: po chwili chwycił ją w swoje ramiona atlety, przycisnął z całych sił do piersi i jął szukać ustami jej ust.

Ale ona poczęła się bronić:

— Nie! nie! — mówiła zdyszczanym głosem... — Tyś nie taki jak inni... Później! nie! nie!... Zmiłuj się!

Swirski trzymał ją w objęciach, przechyloną w tył; w tej chwili był on właśnie taki, jak inni — na szczęście jednak dla pani Elzenowej, zaraz po jej słowach dało się słyszeć lekkie pukanie we drzwi.

Wówczas rozskoczyli się w dwie strony.

— Kto tam? — spytała pani Elzenowa z akcentem niecierpliwości.

We drzwiach ukazała się posępna głowa Kresowicza.

— Przepraszam — rzekł przerywanym głosem — Romulus kaszle i może gorączkuje... Myślałem, że trzeba pani dać znać.

Swirski podniósł się:

— Czy nie pójść po lekarza?

Lecz pani Elzen odzyskała już zwykłą zimną krew.

— Dziękuję panu — rzekła — jeśli trzeba, pošlemy z hotelu, ale pierwej muszę dziecko zobaczyć... Dziękuję! a tymczasem muszę odejść — więc do jutra!... Dziękuję!

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu rękę, którą Swirski podniósł do ust.

— Do jutra — i codzień. Do widzenia!

Pani Elzenowa, zostawszy sam na sam z Kresowiczem, spojrzała na niego badawczo:

— Co jest Romulusowi?

On zaś zrobił się jeszcze bledszy niż był zwykle i odrzekł prawie szorstko.

— Nic.

— Co to znaczy? — spytała marszcząc brwi.

— To znaczy, że... niech mnie pani wypędzi, bo — oszaleję!

I zawróciwszy na miejscu — wyszedł. Pani Elzen stała przez chwilę z połyskami gniewu w oczach i namarszczoną brwią, ale stopniowo czoło jej poczęło się wygładzać. Miała istotnie trzydzieści pięć lat, a oto był nowy dowód, że urokowi jej nikt nie mógł dotychczas się oprzeć.

Po chwili zbliżyła się do zwierciadła, jakby szukając w niem potwierdzenia tej myśli.

Swirski zaś wracał w pustym wagonie do Nizy, podnosząc ustawicznie do twarzy ręce, które pachniały heliotropem. Czuł się niespokojny, ale przytem szczęśliwy — i krew biła mu do głowy, gdy nozdrzami wciągał zapach ulubionej perfumy pani Elzen.

III

Nazajutrz jednak zbudził się z ciężką głową, jakby po nocy, spędzonej na pijaństwie — i zarazem z wielkim niepokojem w sercu. Gdy światło dniem padnie na dekorację teatralną — wówczas to, co wydawało się wieczorem czarodziejstwem — wydaje się bohazem. W życiu bywa często tak samo. Swirskiego nie spotkało nic niespodzianego. Wiedział, że do tego idzie — i musi dojść, a jednak teraz, gdy klamka zapadła, miał uczucie niepojętego strachu. Pomyślał, że jeszcze wczoraj można się było cofnąć — i objął go żal. Próżno sobie powtarzał, że nie czas na rozumowania. Rozmaite zarzuty, które czynił poprzednio sobie, pani Elzenowej, a przedewszystkiem małżeństwu z nią, wracały mu teraz do głowy ze spotęgowaną siłą. Głos, który przedtem szeptał mu ustawicznie w ucho: „nie bądź głupcem!” począł teraz wołać: „jesteś głupcem!” I nie mógł go zgłuszyć, ani przez wywody przeciwne, ani przez powtarzanie: „stało się!” — gdyż rozum mówił mu, że stało się głupstwo, którego przyczyna leży w jego słabości.

I na tę myśl ogarniał go wstyd. Bo gdyby był młodym, miałby na wytłómaczenie się młodość, gdyby był tę panią poznał dopiero na Riwierze i nic o niej dotychczas nie słyszał, usprawiedliwiałaby go nieznamość jej charakteru i przeszłości — ale on ją spotykał już poprzednio. Widywał ją wprawdzie rzadko, ale natomiast nasłuchiwał się o niej dowoli, gdyż w Warszawie mówiono o niej więcej, niż o kimkolwiek. Nazywano ją tam „Dziwożoną” — i miejscowi dowcipnicy ostrzyli swój dowcip na niej, jak nóż na osetce, co zresztą nie przeszkadzało mężczyznom cisnąć się do jej salonu. Kobiety, lubo mniej

jej chętne, przyjmowały ją także, ze względu na liczne dalsze i bliższe pokrewieństwa, jakie łączyły ją z miejscowym towarzystwem. Niektóre, takie zwłaszcza, którym zależało na tem, by opinia wogóle nie była zbyt surową, stawały nawet w obronie pięknej wdowy. Inne, mniej pobłażliwe, nie śmiały jednak zamknąć przed nią drzwi, dlatego, że nie chciały czynić tego pierwsze. Pewien miejscowy komedyopisarz, usłyszawszy raz kogoś zaliczającego panią Elzen do „półświatka”, odpowiedział, że nie jest to „ani cały świat, ani pół świata, ale raczej trzy kwadransy na świat...” Ponieważ jednak w większych miastach wszystko się uciera — więc zwolna *utarło* się i położenie pani Elzen. Przyjaciółki jej mawiały: „Helence nie można wprawdzie stawiać nadzwyczajnych wymagań, ale ma ona swoje prawdziwe dobre strony”. I nieświadomie przyznawano jej prawo do większej swobody, niż innym. Czasem ktoś jeszcze wspominał, że na kilka lat przed śmiercią męża, już z nim nie żyła, czasem ktoś mruknął, że wychowuje Romulusa i Remusa na pajaców, lub, że całkiem o nich nie dba, ale na podobne odgłosy niechęci zwracano by uwagę tylko w takim razie, gdyby pani Elzen była kobietą mniej piękną, mniej zamożną i trzymała dom mniej otwarty. Natomiast mężczyźni nie krępowali się między sobą w rozmowach o „Dziwożonie”. Nawet ci, którzy się w niej kochali, obmawiali ją przez zazdrość; milczał zwykle tylko taki, który w danej chwili był szczęśliwszym, lub pragnął uchodzić za szczęśliwszego od innych. Wogóle jednak złośliwość posuwała się do tego stopnia, iż mówiono, że pani Helena ma kogo innego na zimowy pobyt w mieście, a kogo innego na sezon letni. I Swirski wiedział o tem wszystkim. Wiedział nawet więcej od innych, gdyż niejaka pani Broniszowa, którą znał swego czasu w Warszawie, bliska przyjaciółka pięknej wdowy, opowiadała mu o jakimś ciężkim wypadku pani Elzenowej, zakończonym równie ciężką chorobą: „Co się ta biedna Helenka wówczas naciępiła, to Bóg jeden wie, i może to On w miłosierdziu swoim sprawił, że to przyszło przedwcześnie, by ją od większych cierpień moralnych uchronić!...” Swirski przypuszczał wprawdzie, że ów »przedwczesny wypadek« mógł być zupełnym zmyśleniem, niemniej jednak niepodobna mu było mieć złudzeń co do przeszłości pani Elzenowej, a przynajmniej niepodobna mu było wierzyć, by to była kobieta, której możnaby bezpiecznie powierzyć swój spokój.

A jednak, te wszystkie wiadomości, budząc jego ciekawość, pociągnęły go właśnie ku niej. Posłyszawszy o jej pobycie w Monte Carlo, zapragnął, może w zamiarach nie całkiem uczciwych, zbliżyć się do niej i poznać ją lepiej. Chciał też, jako artysta, zdać sobie sprawę z uroku, jaki ta kobieta, powszechnie obmawiana, wywierała na mężczyzn.

Lecz z początku doznał tylko rozczarowań. Była piękna i zmysłowo pociągająca, ale zauważył, że brak jej dobroci i przychylności dla ludzi. Człowiek obchodził ją o tyle tylko, o ile stawał z nią w jakimkolwiek stosunku, dla niej potrzebnym. Po za tem był istotą tak obojętną, jak kamień. Swirski nie zauważył też w niej żadnej czci dla życia duchowego, dla literatury lub sztuki. Brała z nich, co jej było potrzebne, nic im wzamian nie dając. A on, jako artysta i jako człowiek myślący, rozumiał doskonale, że taki stosunek zdradza w gruncie rzeczy naturę, mimo wszelkich wykwinionych pozorów, samolubną, grubą i barbarzyńską. Zresztą, kobiety podobne były mu znane oddawna. Wiedział, że imponują one ludziom pewną siłą, jaką daje stanowczość i wielki, bezwzględny egoizm. O tego rodzaju istotach mówiono nieraz przy nim: „zimna, ale rozumna kobieta”. On jednakże myślał o nich zawsze w sposób lekceważący i pogardliwy. Były to, wedle jego zdania, okazy, pozbawione wyższej duchowej uprawy, a nawet i rozumu, taki bowiem rozum, który ściąga dla siebie wszystko, nie przyznając nikomu nic, mają i zwierzęta. Zarówno w pani Elzen, jak w Romulusie i Remusie, widział typy, w których kultura zaczyna i kończy się na skórze, zostawiając naprawdę plebejuszowską i nieokrzesaną głąb’. Poza tem wszystkim raził go jeszcze i jej kosmopolityzm. Była ona istotnie, jak pieniądz tak wytarty, że trudno było poznać, do jakiego kraju należy, Swirskiego zaś przejmowało to niesmakiem, nie tylko jako człowieka przeciwnych usposobień, ale i jako człowieka, który znał towarzystwo naprawdę wyższe i który wiedział, że owo towarzystwo w takiej naprzykład Anglii, Francji lub Włoszech nie tylko nie zapiera się gleby, z której wyrosło, ale patrzy wprost z pogardą na owe nicejsko-kosmopolityczne chwasty bez korzeni.

Wiadrowski miał słuszość, mówiąc, że Romulusa i Remusa chowano na komiwojażerów lub na portyerów w wielkich hotelach. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że ojciec pani Elzen posiadał już wprawdzie tytuł, ale dziad jej był ekonomem, i Swirskiemu, który miał w wysokim stopniu rozwinięte poczucie komizmu, wydawało się wprost

komicznem to, że prawnukowie ekonoma nietylko nie umieją dobrze po polsku, ale nie wymawiają już litery *r*, jak prawdziwi Paryżanie. Razili go też także, jako artystę. Chłopcy byli piękni, nawet bardzo piękni — Swirski jednakże odczuwał swym subtelnym zmysłem artystycznym, że w tych dwóch podobnych do siebie ptasich czaszkach i ptasich twarzach piękność nie była czemś odziedziczonym po szeregu pokoleń, ale jakby czemś wypadkowym, jakby jakimś fizyologicznym trafem, wynikłym z ich bliźnięctwa. I próżno sobie mówił, że przecież ich matka była także piękną: zostawało mu zawsze poczucie, że i matce i synom naprawdę się to nie należało — i że zarówno pod tym, jak i pod majątkowym względem, byli to dorobkowicze. Dopiero dłuższe przebywanie z nimi osłabiło w nim te wrażenia.

Pani Elzen od początku znajomości poczęła go wyróżniać i pociągać. Był więcej wart od reszty jej znajomych, nosił dobre nazwisko, posiadał znaczny majątek i wielki rozgłos. Brakło mu wprawdzie młodości, ale i pani Elzen miała trzydzieści pięć lat, a przytem jego herkulesowa postać mogła młodość zastąpić. Ostatecznie, wyjść za niego, równało się dla kobiety, o której mówiono z lekceważeniem, odzyskaniu czci i stanowiska. Mogła go wprawdzie podejrzyc o inne upodobania i odmienną naturę, ale przytem posiadał dobroć i — jak każdy artysta — pewien pokład naiwności na dnie duszy; więc pani Elzen liczyła na to, że potrafi go nagiąć do siebie. Wreszcie powodowało ją nie samo tylko wyrachowanie: w miarę, jak on dawał się pociągać, pociągał i ją. W końcu poczęła sobie mówić, że go kocha, nawet w to uwierzyła.

Z nim zaś stało się to, co przytrafia się wielu, nawet zupełnie inteligentnym ludziom. Oto rozum jego skończył się z chwilą, w której ozwały się zmysły, a raczej, gorzej jeszcze: bo poszedł w ich służbę i zamiast je zwalczać, musiał im dostarczać argumentów. W ten sposób ów Swirski, który wszystko wiedział i rozumiał, począł wszystko usprawiedliwiać, wykręcać na korzyść, łagodzić, tłómaczyć. »Prawda, mówił sobie, że ani natura jej, ani dotychczasowe postępowanie, nie dają rękojmi, ale kto mi dowiedzie, że nie jest zmęczona tem życiem, i że z całej duszy nie tęskni właśnie do innego? W postępowaniu jej jest niewątpliwie dużo kokieteryi, ale któż znów zaręczy, czy nie rozwija tej kokieteryi dlatego, że pokochała mnie szczerze! Wyobrażać sobie, że człowiek, choćby pełen wad i zbroczeń niema, żadnych dobrych stron, jest dzieciństwem. Ach! co to za mieszanina — dusza ludzka! I trzeba tylko odpowiednich warunków, by się owe dobre strony mogły rozwijać, a złe zaniknąć. Pani Elzenowa przeszła już także pierwszą młodość. Jakiemże głupstwem byłoby przypuszczać, że żaden głos nie woła i w niej o życie ciche i cne, o spokój, o ukojenie. I z tych powodów może właśnie taka kobieta więcej niż inna będzie cenić uczciwego człowieka, który jej to wszystko zapewnia«. Ta ostatnia zwłaszcza uwaga wydała mu się nadzwyczaj trafną i głęboką. Poprzednio, zdrowy rozsądek mówił mu, że pani Elzenowa chce go złapać, on zaś odpowiadał mu teraz: „to ma słuszność, albowiem o każdej, najidealniejszej kobiecie, która pragnie połączyć się z kochanym człowiekiem, można powiedzieć, że go chce złapać!” Uspokajała go także co do przyszłości nadzieja dzieci. Myślał, że wówczas będzie miał co kochać, ona zaś musi zerwać ze światowem, czczem życiem, bo nie będzie miała na nie czasu — nim zaś dzieci podrosną, młodość jej przejdzie całkiem, a wówczas dom będzie ją bardziej nęcił od świata. Mówił sobie nakoniec: „Jakoś to będzie! życie musi się jakoś ułożyć — nim zaś przyjdzie starość, pożyję kilka lat z kobietą piękną i zajmującą, przy której każdy powszedni dzień wyda mi się świętem”.

I te „kilka lat” stanowiły w gruncie rzeczy główną dla niego przynętę. Było wprawdzie coś upokarzającego dla pani Elzenowej w tem, iż on nie obawiał się żadnych nadzwyczajnych wypadków dlatego tylko, że jej młodość, a zatem ich możliwość miała wkrótce minąć. Ale on nie przyznawał się sam przed sobą, że właśnie ta myśl jest podstawą jego otuchy — i oszukiwał się w dalszym ciągu, jak czynią zawsze ludzie, w których rozum stał się stręczycielem zmysłów.

Teraz jednak, po wypadkach wczorajszego wieczora obudził się z ogromnym niepokojem i zniechęceniem. Nie mógł się oprzeć rozmyślaniu o dwóch rzeczach: najprzód, że gdyby mu ktoś powiedział miesiąc temu, że oświadczy się o panią Elzenową, toby go uważał za głupca, powtóre, że ów urok stosunku z nią, który leżał w niepewności, we wzajemnem odgadywaniu spojrzeń i myśli, w niedomówionych słowach, w zawieszonych wyznaniach i we wzajemnem przyciąganiu się, był większy, niż ten, który wypłynął

ze zmiany obecnej. Milej było Swirskiemu przygotowywać narzeczeństwo, niż zostać narzeczonym — obecnie zaś myślał, iż jeśli o tyle właśnie mniej będzie miło mu zostać mężem, niż narzeczonym, to niech licha porwie taki los. Chwilami poczucie, że już jest związanym, że niema przed nim wyjścia, i że do swej łodzi życiowej musi, czy chce, czy nie chce, zabrać panią Elzenową wraz z Romulusem i Remusem, wydawała mu się wprost nieznośną. Wówczas, nie chcąc, jako człowiek lojalny, kląć pani Elzen, klął Romulusa i Remusa, ich „grassejowanie” — ich ptasie, ciasne głowy i ptasie czaszki.

„Miałem swoje troski, ale ostatecznie byłem swobodny jak ptak i mogłem całą duszę kłaść w obrazy, — mówił sobie — a teraz dyabeł wie, jak będzie!” I tu kłopoty malarzkie, jakich w tej chwili doświadczał, zepsuły mu do reszty humor, jakkolwiek skierowały od razu jego myśl w inną stronę. Pani Elzenowa i cała sprawa małżeńska poczęła się odsuwać na drugi plan, a na pierwszy występował jego obraz: „Sen i śmierć”, nad którym pracował od kilku miesięcy i do którego przywiązywał ogromną wagę, albowiem miał on być protestem przeciw ogólnie przyjętemu pojęciu śmierci. Nieraz w rozmowach ze znajomymi sobie malarzami, Swirski oburzał się na chrześcijaństwo, które do życia i do sztuki wprowadziło jako wyobrażenie śmierci — kościotrup. Swirskiemu wydawało się to najwyższą dla niej krzywdą. Grecy wyobrażali sobie Thanatosa jako skrzydlatego geniusza i tak było słusznie. Co może być szpetniejszego i bardziej przerażającego jak kościotrup? Jeśli kto, to chrześcijanie, którzy w śmierci widzą wrota do nowego życia, nie powinni jej byli tak malować. Według Swirskiego pojęcie to zrodziło się też z posępnego ducha germańskiego, tego samego, który stworzył gotyk — uroczysty i wspaniały, — ale tak ponury, jakby kościół był przejściem nie do blasków nieba, ale do podziemnych i beznadziejnych otchłani. Swirski dziwił się zawsze, że renesans nie zreformował symbolu śmierci. Wszakże, gdyby ona nie była wiecznym milczeniem, gdyby chciała się skarżyć, to mogłaby rzec: „Czemu ludzie wyobrażają mnie pod postacią kościotrupa! przecie kościotrup, jest to właśnie to, czego ja nie chcę i co zostawiam!” Jakoż w obrazie Swirskiego geniusz snu oddawał cicho i łagodnie ciało dziewczyny geniuszowi śmierci, który pochylając się nad nią, gasił zarazem lekko płomyk lampki palącej się około jej głowy. Swirski malując powtarzał sobie: „trzeba, żeby człowiek, który na to spojrzy, powiedział sobie przedewszystkiem: «ach, jakie to ogromnie ciche!» i chciał, żeby owo milczenie szło na widza od linii, od postaci, od wyrazu, od koloru. Myślał też, że jeśli potrafi wydobyć ten nastrój i jeśli obraz będzie się sam przez się tłómaczył, to stanie się dziełem niepowszedniem i nowem. Chodziło mu też jeszcze i o coś innego. Idąc za ogólnym prądem czasu, zgadzał się i on na to, że malarstwo powinno unikać idei literackich, rozumiał jednak, że jest ogromna różnica między wyrzeczeniem się idei literackich a tak bezmyślnem odbijaniem świata zewnętrznego, jak odbija go klisza fotograficzna. Kształt, kolor, plama — i więcej nic! — jak gdyby obowiązkiem malarza było zabić w sobie istotę myślącą! I przypomniał sobie, że ilekroć zdarzyło mu się widzieć obrazy np. Anglików, tylekroć uderzał go przedewszystkiem wysoki poziom umysłowy tych artystów. Znać było z ich płócien, że są to mistrze wysokiej duchowej kultury, psychicznie bardzo wyrobieni, myślący głęboko, często nawet uczeni. W Polakach natomiast widział zawsze coś wprost przeciwnego. Z wyjątkiem kilku lub w najlepszym razie, kilkunastu, — ogół się składał z ludzi zdolnych, ale bezmyślnych, nadzwyczaj mało rozwiniętych i pozbawionych wszelkiego wykształcenia. Ci żyli zwietrzałymi już nieco okruszynami doktryn, spadających z francuskiego stołu, nie przypuszczając ani na chwilę, by można było coś samodzielnego o sztuce pomyśleć, a tembardziej samodzielnie, po polsku ją tworzyć. Dla Swirskiego było też jasnem, że doktryna polecająca bezmyślność, musiała im przypaść do serca. Nosić miano artysty, a mózdz przytem zostać duchowym parobkiem, było przecież rzeczą wygodną. Czytać, wiedzieć, myśleć — na licha taki trud!

Lecz Swirski mniemał, że jeśli nawet krajobraz jest tylko stanem duszy, to trzeba, by ta dusza była zdolną nietylko do maćkowych stanów, ale subtelną, wrażliwą, wyrobioną i rozwiniętą. Klócił się o to z kolegami i rozprawiał z nimi zapalczywie: „Ja nie wymagam od was — wołał — żebyście malowali tak dobrze, jak Francuzi, Anglicy lub Hiszpanie — ja wymagam od was, żebyście malowali lepiej! przedewszystkiem zaś po swojemu. A kto do tego nie dąży, niech zostanie kotlarzem!” Dowodził zaś, że czy obraz przedstawia stóg siana, czy kury grzebiące na podwórzu, czy kartoflane pole, czy konie na paszy, czy kąt spiącej wody w stawie, zawsze rzeczą ponad wszystko, będzie w nim dusza. Wpuszczał też

tyłe własnej duszy w swoje portrety, ile mógł — a prócz tego „wypowiadał się” w innych obrazach, z których ostatnim miał być: Hypnos i Thanatos.

Dwaj geniusze byli już prawie skończeni, lecz z głową dziewczyny nie szło. Swirski rozumiał, że musi być nie tylko piękna, ale bardzo indywidualna. Tymczasem przychodziły modelki ładne wprawdzie, ale nie dość osobiste. Madame Lageat, u której Swirski wynajmował pracownię i która była dawną jego znajomą, obiecała mu wprawdzie szukać, ale szło to powoli. Jakaś nowa modelka miała przyjść właśnie dziś rano i nie przyszła, chociaż było już po jedenastej.

Wszystko to, wzięte razem z wczorajszymi oświadczeniami, sprawiło, że Swirski zaczął wątpić nie tylko o swym spokoju, ale o swej przyszłości artystycznej wogóle i o swym obrazie w szczególności. Hypnos wydawał mu się w tej chwili jakiś ciężki, Thanatos jakiś głupowaty. Wreszcie powiedział sobie, że skoro nie może się wziąć do roboty, to lepiej jest wyjść na brzeg, gdzie widok wody i słońca może rozjaśni mu myśli i duszę.

Lecz w chwili właśnie, gdy miał wychodzić, w przedpokoju ozwał się dzwonek, a następnie w pracowni pojawiły się dwa tartany szkockie, dwie grzywki i dwie ptasie głowy Romulusa i Remusa, za którymi szedł blejszy i posępniejszy, niż kiedykolwiek, Kresowicz.

— Dzień dohby panu! Dzień dohby panu! — wołali dwaj chłopcy — *Maman* przesyła panu te róże i prosi pana na śniadanie.

Tak mówiąc i potrząsając pękami herbacianych i mszystych róż, wręczyli je Swirskiemu, a następnie poczęli biegać i rozglądać się po pracowni. Dziwiły ich i zastanawiały zwłaszcza szkice, przedstawiające nagie ciała, albowiem zatrzymywali się przed nimi i trącali się łokciami:

— *Tiens!*

— *Regarde!*

Lecz Swirski, którego to gniewało, spojrział na zegarek i rzekł:

— Jeśli chcemy zdążyć na śniadanie, to trzeba zaraz jechać.

Poczem wziął kapelusz i wyszli. W pobliżu pracowni nie było dorożek, więc szli piechotą. Po drodze, malarz, idąc w drugą parę z Kresowiczem, zapytał:

— Cóż pańscy uczniowie?

Kresowicz zwrócił ku niemu swą nienawistną, szyderczą twarz i odrzekł:

— *Moi* uczniowie? A nic. Zdrowi jak ryby i dobrze im w szkockim ubraniu. Będzie z nich pociecha — tylko nie dla mnie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja od jutra odchodzę.

— Jakto? — rzekł z pewnym zdziwieniem Swirski — nic nie wiedziałem; nikt mi o tem nie mówił. To szkoda!

— Dla nich żadna szkoda — odpowiedział Kresowicz.

— Chyba z tej przyczyny, że jej nie są w stanie jeszcze zrozumieć.

— Oni nigdy nie będą w stanie jej rozumieć... Ni dziś, ni kiedykolwiek w życiu! nigdy!

— Mam nadzieję, że się pan mylisz — odrzekł sucho Swirski — a w każdym razie przykro mi to słyszeć.

Lecz student mówił dalej, jakby sam do siebie:

— Owszem! Szkoda, ale szkoda czasu. Co im po mnie, albo mnie po nich? To nawet lepiej, że będą tacy, jak będą. Kto chce siać żyto, musi trawę zaorać, a zaorać ją tem łatwiej, im nędzniejsza. Dużoby o tem mówić, a to także nie warto, zwłaszcza nie warto dla mnie. Mikroby i tak człowieka stoczą.

— Panu suchoty nigdy nie groziły. Pani Elzenowa, zanim prosiła pana o lekcye, pytała o pańskie zdrowie doktora — i temu nie powinieneś się pan dziwić, bo jej chodziło o dzieci. Ale doktor zaręczył jej, że niema żadnego niebezpieczeństwa.

— Pewno, że niema. Ja zresztą wynalazłem na mikroby niezawodny sposób.

— Jakiż to sposób?

— Będzie ogłoszony w gazetach. Takich wynalazków nie ukrywa się pod kocem.

Swirski spojrział na Kresowicza, jakby chcąc się przekonać, czy nie mówi w gorączce, ale tymczasem doszli do kolejowego dworca, na którym roilo się od ludzi.

Goście nicejscy wyjeżdżali, jak zwykle, rano do Monte Carlo. W chwili, gdy Swirski kupował bilet, Wiadrowski spostrzegł go i zbliżył się ku niemu.

— Dzień dobry! — rzekł. — Do Monte?

— Tak jest. Masz pan już bilet?

— Mam miesięczny. Będzie nam ciasno w pociągu.

— Pojedziemy w korytarzu wagonowym.

— To prawdziwy Exodus? co? a każdy wiezie swój grosz wdowi. Dzień dobry, panie Kresowicz! Cóż pan mówi o tutejszem życiu? Zrób pan jaką uwagę ze stanowiska swego stronnictwa.

Kresowicz począł mrugać oczyma, jakby nie mogąc zrozumieć, czego od niego chciał, poczem odrzekł:

— Ja się zapisuję do stronnictwa milczących.

— Wiem, wiem!... Tęgie stronnictwo: albo milczy, albo wybucha...

I począł się śmiać.

Tymczasem jednak zadzwoniono na odjazd i trzeba się było śpieszyć. Z peronu dochodziły wołania: „*en voiture! en voiture!*” Po chwili Swirski, Kresowicz, Wiadrowski i dwaj chłopcy znaleźli się w korytarzyku wagonu.

— Z moją scyjatyką to przyjemna rzecz! — rzekł Wiadrowski. — Patrz pan, co się dzieje! o miejscu niema co i myśleć. Czysta wędrówka narodów!

Jakoż nietylko przedziały, ale i korytarz zatłoczony był ludźmi wszelkiej narodowości. Jechali Polacy, Rosyanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy — wszystko na podbój banku, który codziennie odpierał i łamał te tłumy, jak skała, wysunięta z wybrzeża, łamie fale morską. Do okien cisnęły się kobiety, od których bił zapach irysu i heliotropu. Słońce rozświecało sztuczne kwiaty na kapeluszach, aksamity, koronki, sztuczne lub prawdziwe klejnoty w uszach, dzety, mieniące się jak pancerce na podanych naprzód, wydętych z gumy piersiach, uczernione brwi, twarze, pokryte pudrem lub różem i podniecone nadzieją zabawy i gry. Najwprawniejsze oko nie mogło odróżnić gamratek, udających kobiety ze świata, od kobiet ze świata, udających gamratki. Mężczyźni, z pęczkami fijołków w kłapach surdutów, obrzucali ten tłum kobiet wzrokiem pytającym i beczelnym, opatrując suknie, twarze, ramiona i biodra z taką chłodną dokładnością, z jaką naprzykład ogląda się wystawione na sprzedaż przedmioty. Był w tym ścisku jakiś bezład targowiska, a zarazem jakiś pośpiech. Chwilami pociąg wpadał w ciemność tunelów, to znów w szybach rozbłyskiwało słońce, niebo, morze, gaje palmowe, oliwniki, wille, białe zagaje migdałów, a w chwilę później znów ogarniała go noc. Stacya migiała za stacyą. Nowe gromady ludzi cisnęły się do wagonów, strojne, wykwiłtne, dążące jakby na wielkie i wesołe święto.

— Jaki to wierny obraz życia — na złamanie karku — rzekł Wiadrowski.

— Co jest tym wiernym obrazem?

— Ten pociąg. Mógłbym nad tem filozofować aż do śniadania, ale ponieważ wolę filozofować po śniadaniu, więc może pan zechce zjeść je razem ze mną.

— Nie — rzekł Swirski — wybacz pan: proszony jestem przez panią Elzenową.

— W takim razie — cofam się!

I począł się uśmiechać. Przypuszczenie, żeby Swirski miał się ożenić z panią Elzenową, nie przyszło mu ani na chwilę do głowy. Był, owszem, pewien, że malarzowi chodziło o to samo, o co i innym, ale będąc wielbicielem artystów wogóle, a Swirskiego w szczególności, odczuwał zadowolenie, że Swirski zwycięża współzawodników.

— Ja przedstawiam majątek — myślał sobie. — Porzecki tytuł, młodszy Kładzki młodość, a Sinten świat modnych durniów. Wszystko to, zwłaszcza tu, posiada niemałą wartość, a jednakże Dziwożona wybrała jego. Ostatecznie, to kobieta ze smakiem.

I patrząc na malarza począł mruzczyć:

— „*Jo triumphe, tu moraris aureos currus*”...

— Co pan powiada? — spytał Swirski — który nie dosłyszał z powodu huku pociągu.

— Nic. To jakaś czkawka z „Horacyusza”. Powiadam, że skoro pan mi odmawia, więc wyprawię śniadanie *pocieszenia* sobie, de Sintenowi, Porzeckiemu i Kładzkim.

— Proszę pana, po czem to chcecie się pocieszać? — zapytał Swirski, przysuwając się nagle i patrząc mu w oczy niemal z pogrózką.

— Po stracie pańskiego towarzystwa — odpowiedział z zimną krwią Wiadrowski. — A kochany pan co przypuszczał?...

Swirski zaciął usta i nie odpowiedział. Pomyślał natomiast, że na złodzieju czapka gore i że gdyby się żenił z jakąś zwyczajną dziewczyną w kraju, to ani do głowy nie przyszłoby mu przypuszczenie, że ktoś, mówiąc złośliwie i z przekąsem, ją może mieć na myśli.

Ale tymczasem przyjechali. Pani Elzenowa wyświeżona, młoda i ładna, czekała ich na stacyi. Przyszła widać dopiero przed chwilą, albowiem oddychała śpiesznie i twarz miała zarumienioną tak, że można było to wziąć za wzruszenie. To też gdy na powitanie podała Swirskiemu obie ręce, Wiadrowski pomyślał:

— Tak! ten pobił nas wszystkich o siedm długości. Ona wygląda naprawdę zakochana.

I spojrział na nią prawie przychylnie. W białej flanelowej sukni z marynarskim kołnierzem, z rozpromienionemi oczyma, wydała mu się, mimo lekkich śladów pudru na twarzy, tak młoda i urocza, jak nigdy. Przez chwilę uczyniło mu się żal, że to nie on był tym szczęśliwcem, którego przyszła powitać — i pomyślał, że metoda, za pomocą której starał się o jej względy, polegająca na mówieniu jej złośliwości, była głupia. Ale pocieszył się myślą o tem, jak będzie drwił z Sintena i innych „zdystansowanych”.

Po przywitaniu Swirski dziękował jej za różę, ona zaś słuchała z pewnem zakłopotaniem, spoglądając chwilami na Wiadrowskiego, i jakby wstydząc się, że jest świadkiem owych podziękowań.

On też zrozumiał, że najlepiej zrobi, gdy sobie pójdzie. Jednakże wjechali jeszcze razem liftem na górę, na której leży dom gry, wraz z ogrodami. Po drodze, pani Elzenowa odzyskała zupełnie swobodę.

— Na śniadanie! zaraz na śniadanie! — wołała wesoło — apetyt mam jak wieloryb!

Wiadrowski mruknął pod nosem, że chciałby być bogdaj Jonaszem, ale nie wypowiedział tego głośno, pomyślawszy że jeśli Swirski porwie go za kołnierz i wyrzuci z liftu, jak na to koncept zasługiwał, to spadać będzie nader wysoko.

W ogrodzie pożegnał ich też zaraz i odszedł; ale obejrzawszy się, ujrzał, jak pani Elzenowa, wsparta na ramieniu Swirskiego, szeptała mu coś do ucha.

— Umawiają się o deser po śniadaniu! — pomyślał.

Ale mylił się, ona bowiem, zwracając swą wdzięczną głowę do malarza, szeptała:

— Czy Wiadrowski już wie?

— Nie — odpowiedział Swirski — spotkałem go dopiero w pociągu.

To rzekłszy, odczuł pewien niepokój na myśl, że pani Elzenowa o zaręczynach mówi już, jak o rzeczy spełnionej, i że trzeba będzie powiedzieć o nich wszystkim, ale jednocześnie bliskość pani Elzenowej, jej piękność i urok poczęły na niego działać tak, że rozchmurzył się i nabrał otuchy.

Śniadanie odbyło się wprawdzie razem z Romulusem, Remusem i Kresowiczem, który przez cały czas nie odezwał się ani jednym słowem. Natomiast, po kawie czarnej, pani Elzenowa pozwoliła chłopcom pójść pod dozorem młodego człowieka w stronę Rocca Brune, sama zaś zapytała Swirskiego:

— Czy pan woli przejść się, czy przejechać?

On wołałby był najlepiej pójść do niej i tam odbyć chociaż »pół drogi do raj« — i doznać „choćby pół zbawienia” — ale pomyślał, że jeśli ona sobie tego nie życzy, to właśnie jest dowodem, jak dalece poważnie i szlachetnie patrzy na ich stosunek — i w duchu rzekł sobie, że powinien jej być za to wdzięczny.

— Jeżeli pani nie zmęczona, to wołę się przejść — odpowiedział.

— Dobrze. Wcale nie jestem zmęczona. Ale gdzie pójdziemy? Czy chce pan popatrzeć na strzelanie do gołębi?

— Z chęcią, tylko że tam nie będziemy sami. Sinten i młody Kładzki zapewne wprawiają się po śniadaniu.

— Tak, ale nie będą nam przeszkadzali. Oni, gdy chodzi o gołębie, stają się głusi i ślepi na wszystko, co się około nich dzieje... Zresztą, niech mnie widzą z moim wielkim człowiekiem!

I, przechyliwszy głowę, spojrziała mu z uśmiechem w oczy:

— Chyba, że wielki człowiek sobie tego nie życzy?...

— Owszem, niech nas widzą! — odpowiedział Swirski, podnosząc jej rękę do ust.

— Więc pójdźmy aż na dół — ja dosyć lubię na to patrzeć.

— Dobrze.

I po chwili znaleźli się na wielkich schodach, prowadzących do strzelnicy.

— Jak tu jasno, jak dobrze i jaka ja szczęśliwa — rzekła pani Elzenowa.

Poczem, choć w pobliżu ich nie było nikogo, spytała szepcząc:

— A pan?

— Moje światło jest przy mnie! — odrzekł, przyciskając do piersi jej ramię.

I poczęli schodzić. Dzień był istotnie jeszcze jaśniejszy, niż zwykle, powietrze złote i błękitne, morze w oddali wyglądało, jak granatowe.

— Najprzód zatrzymajmy się tu — rzekła pani Elzenowa. Klatki można stąd widzieć doskonale.

Jakoż pod ich stopami rozciągało się zielone, pokryte murawą półkole, zachodzące głęboko w morze. W półkolu ustawione były w łuk na ziemi klatki z gołębiami. Co chwila któraś z nich rozpadała się nagle, spłoszony ptak zrywał się do lotu, poczem rozlegał się strzał — i gołąb spadał na majdan, albo też w morze, gdzie na fali chwiały się łódki z czekającymi na łup rybakami.

Czasem zdarzało się jednak, że strzał chybiał — wówczas gołąb leciał ku morzu, a następnie, zatoczywszy koło, wracał szukać schronienia w gzymsach domu gry.

— Stąd nie widzimy strzelców i nie wiemy, kto strzela — rzekła rozweselona pani Elzenowa — więc sobie powróźmy: jeśli pierwszy gołąb padnie, to zostaniemy w Monte Carlo, jeśli polecą, to pojedziemy do Włoch.

— Dobrze — rzekł Swirski — patrzmy! Oto już!

Istotnie klatka rozpadła się w tej chwili, gołąb jednak, jakby odurzony, pozostał na miejscu. Spłoszono go, puściwszy ku niemu po murawie drewnianą kulę, a potem huknął wystrzał. Ale ptak nie spadł odrazu: najprzód wzbil się wysoko w powietrze, następnie poszybował wprost na morze, zniżając się stopniowo nad tonią, jak gdyby raniony, a w końcu znikł zupełnie w blasku słonecznym.

— Może spadł, może nie spadł! Przyszłość jest niepewna! — rzekł śmiejąc się Swirski.

Lecz pani Elzenowa wysunęła usta, jak zagniewane dziecko:

— To ten nieznośny Sinten — rzekła. — Założę się, że to on! Zejdźmy.

I schodzili coraz niżej ku strzelnicy, wśród kaktusów, wśród przypołudników i porzpinanego na murach koziego ziela. Pani Elzenowa zatrzymywała się jednak za każdym odgłosem wystrzału, przyczem w swej białej sukni, na ogromnych schodach i na tle zieleni wyglądała jak posąg.

— Jednakże żadna tkanina nie układa się w tak pyszne fałdy, jak flanela — zauważył Swirski.

— Ach! ci artyści! — odrzekła młoda kobieta.

I w głosie jej było nieco ironii, albowiem czuła się trochę dotkniętą tem, że Swirski w tej chwili myślał nie o niej, ale o fałdach, w jakie układają się rozmaite gatunki tkanin.

— Pójdźmy!

W kilka minut później znaleźli się pod dachem strzelnicy. Ze znajomych był tam tylko Sinten, strzelający o zakład z pewnym hrabią węgierskim, obaj ubrani w rude angielskie kostiumy, w takież czapki zsunięte od przodu na daszki i w kraciaste pończochy, obaj ogromnie dystyngowani, obaj z twarzami durniów. Ale zgodnie z przewidywaniem pani Elzenowej, Sinten tak był zajęty strzelaniem, że nie odrazu ich spostrzegł i dopiero po chwili zbliżył się do nich z powitaniem.

— Jakże idzie? — spytała pani.

— Biję! Wielkiej puli także jestem prawie pewien.

Tu zwrócił się do Swirskiego.

— A pan nie strzela?

— Owszem, ale nie dziś.

— Ja zaś — odrzekł Sinten, spoglądając znacząco na panią Elzenową — jestem dziś: *heureux au jeu!*

Poczem zawołano go do strzału.

— Chciał powiedzieć, że jest nieszczęśliwy w miłości — rzekł Swirski.

— *Imbécile!* Czyż mogło być inaczej.

Ale mimo tych słów przygany, z twarzy pięknej pani znać było, iż nie gniewa się o to, że wobec Swirskiego dano jej świadectwo, jak dalece jest uroczą i przez wszystkich pożądaną.

Tego zaś dnia nie miało to być świadectwo ostatnie.

— Chciałem zapytać panią o coś — rzekł po chwili milczenia Swirski — ale podczas śniadania, przy dzieciach i Kresowiczu, nie mogłem. Kresowicz powiedział mi w drodze, że odchodzi, a przynajmniej, że ostatni dzień jest nauczycielem chłopców. Czy to prawda i dlaczego?

— Prawda — odrzekła pani Elzenowa. — Najprzód nie jestem pewna jego zdrowia. Przed kilku dniami zmusiłam go, żeby poszedł do doktora. Wprawdzie doktor powtórzył znowu, że mu suchoty nie grożą — inaczej nie trzymałabym go ani godziny, ale, bądź co bądź, wygląda codzien gorzej... jest dziwaczny, rozdrażniony, często nieznośny... I to jest pierwszy powód. A powtórę, pan zna jego przekonania?... Romulusa i Remusa się to nie czepi — wiem. Chłopcy chowani są tak, że podobne zasady nie mogą ich się czepić. Ale nie życzę sobie, żeby już w dzieciennych latach wiedzieli, że takie rzeczy istnieją, żeby się spotykali z taką egzaltacją, a zarazem z taką niechęcią do tej sfery, do której należą... Pan sobie życzył, by rozmawiali z kimkolwiek we własnym języku, więc dla mnie było to dosyć... To dla mnie jakby rozkaz... Taka oto jestem i taką będę... Przytem i sama rozumiem, że wypada, aby trochę znali swój język... Teraz ludzie bardzo na to patrzą — i przyznają, że mają słusność. Ale Kresowicz nawet w tym kierunku jest zbyt egzaltowany...

— Szkoda mi go! On ma pewne zmarszczki w kątach oczu, oznaczające fanatyzm. To ciekawa twarz, a w gruncie rzeczy człowiek ciekawy.

— Już znów przez pana mówi malarz — rzekła, śmiejąc się, pani Elzenowa.

Lecz po chwili spoważniała, a nawet na twarzy jej pojawiło się zakłopotanie.

— Mam jeszcze jeden powód — rzekła. — Trudno mi o tem mówić, ale jednak powiem, bo z kimże mam być szczerą, jeśli nie z moim... wielkim człowiekiem... takim kochanym i poczciwym, który wszystko potrafi wyrozumieć... Oto spostrzegłam, że Kresowicz stracił głowę i zakochał się we mnie bez pamięci, a w tych warunkach nie może pozostawać blisko...

— Jakto? i ten także? — zawołał Swirski.

— Tak jest! — odrzekła ze spuszczonej oczyma.

I usiłowała udać, że wyznanie to sprawa jej przykrość — a jednak, równie jak przed chwilą po słowach Sintena, przez usta jej przeleciał uśmiech zadowolonej miłości własnej i kobiecej próżności. Swirski dostrzegł go — i przykre, gniewne uczucie ścisnęło mu serce.

— Uległem więc epidemii — rzekł.

Ona zaś popatrzyła chwilę na niego i spytała cicho:

— Czy to powiedział zazdrośnik, czy niewdzięcznik?

Ale malarz odpowiedział wymijająco:

— Pani ma słusność... Jeśli tak, to Kresowicz powinien odejść...

— Dziś też porachuję się z nim i będzie koniec.

Poczem umilkli, słychać było tylko strzały de Sintena i Węgra.

Swirski jednakże nie mógł jej darować tego uśmiechu, który schwycił w przelocie. Mówił sobie wprawdzie, że pani Elzenowa postąpiła z Kresowiczem tak, jak była powinna, i że niema o co się drażnić — a jednakże w duszy odczuwał rozdrażnienie coraz większe. Niegdyś, na początku jeszcze znajomości z panią Elzenową, widział ją raz jadącą na rowerze: ona jechała kilka kroków naprzód, za nią zaś podążał Sinten, młody Kładzki, Porzecki, Wilkisbej i Waxford. Na Swirskim grupa ta uczyniła wówczas fatalne wrażenie, jakiegoś zwierzęcego pościgu samców za samicą. Obecnie obraz ów stanął mu jak żywy w pamięci i wrażliwa, artystyczna jego natura poczęła cierpieć naprawdę. „Ostatecznie to tak jest, mówił sobie: za nią biegną wszyscy, i gdybym ja przewrócił się przez jaką przeszkodę, toby jej dobiegł następny!”...

Lecz dalsze rozmyślania przerwała mu pani Elzenowa, której poczęło być w cieniu chłodno, i która oświadczyła, iż pragnie rozgrzać się nieco na słońcu.

— Pójdźmy do mieszkania i niech pani weźmie okrycie — rzekł, wstając Swirski.

Poczem ruszyli z powrotem na górny taras, ale w połowie schodów ona zatrzymała się nagle:

— Pan ze mnie niekontent — rzekła. — Co ja zawiniłam i czy nie postąpiłam jak trzeba?

Na to Swirski, który uspokoił się nieco przez drogę, i którego ujął jej niepokój, odrzekł:

— Niech pani wybaczy staremu dziwakowi; to ja panią przepraszam.

Pani Elzenowa chciała koniecznie dowiedzieć się, co go zasępiło, lecz żadnym sposobem nie mogła wydobyć z niego odpowiedzi. Wówczas nawpół żartobliwie, nawpół ze smutkiem poczęła wyrzekać na artystów. Co za nieznośni i dziwni ludzie, których lada co zraża, byle co zaboli, i którzy zamykają się zaraz w sobie, a potem uciekają do swych samotnych pracowni. Dziś oto trzy razy zauważyła, jak w nim odnalazł się malarz... To źle!... To też za karę, niechże ten niegodziwy malarz zostanie na obiad, aż do wieczora.

Swirski jednak oświadczył, że musi wracać; poczem zwierzył jej swoje troski artystyczne, kłopot z odnalezieniem modelu do „Snu i śmierci”, a wreszcie nadzieje, jakie do tego obrazu przywiązywał.

— Widzę ze wszystkiego — odpowiedziała, uśmiechając się młoda wdowa — że zawsze będę miała jedną straszną rywalkę, to jest sztukę.

— To nie rywalka — odpowiedział Swirski — to bóstwo, któremu pani będzie służyć wraz ze mną.

Na to regularne brwi pięknej pani zmarszczyły się lekko na jedno mgnienie oka, ale tymczasem doszli do hotelu. Tego dnia Swirski zrobił dwie trzecie drogi do raję — a następnie wyjechał z dreszczem rozkoszy w kościach, ale zarazem z przekonaniem, że wrota otworzy mu dopiero małżeństwo.

I ochłodłszy w wagonie, był pani Elzenowej wdzięczny za to przekonanie.

IV.

Ona zaś przed rozpoczęciem obiadowej toalety wezwała do obrachunku Kresowicza i wezwała go z pewnem zaciekawieniem w duszy, jakie też będzie ich pożegnanie. Widywała w życiu tylu ludzi przeciętnych, jakby przykrojonych przez jednego krawca na wspólną modłę, że ten młody dziwak zajmował ją od pewnego już czasu, teraz zaś, gdy za chwilę miał odejść z rozdarciem sercem, poczęła ją zajmować tem bardziej. Była pewna, że jego namiętność zdradzi się w jakimkolwiek sposób i miała nawet trochę utajonej ochoty, by się zdradziła, obiecując sobie niezupełnie szczerze zahamować ją jednym spojrzeniem lub słowem, gdyby chciała przejść pewną miarę.

Ale Kresowicz wszedł zimny z twarzą raczej złowrogą, niż rozkochaną. Pani Elzenowa, spojrzawszy na niego, pomyślała, że Swirski, jako artysta, musiał jednak wyróżnić tę głowę, tkwiło w niej bowiem coś zupełnie wyjątkowego. Były to rysy, jakby żelazne, w których wola przeważała nad inteligencją, nadając im wyraz do pewnego stopnia tępy i zarazem nieubłagany. Swirski oddawna odgadł, że to jest jeden z takich ludzi, którzy, gdy chwycą się pewnej idei, nigdy żaden powiew sceptycyzmu nie zmąci ich wiary w nią i nigdy zwątpienie nie podkopie ich zdolności do czynu, właśnie dlatego, że z uporczywym i silnym charakterem idzie u nich w parze pewna ciasnota umysłu. Fanatyzm wyrasta tylko na takim gruncie. Pani Elzenowa, mimo całego rozumu światowego, była zbyt płytką, by umiała się na tem poznać. Kresowicz byłby zwrócił jej uwagę tylko w takim razie, gdyby był wyjątkowo pięknym chłopcem, ale ponieważ nim nie był, więc z początku obchodziła się z nim, jak z rzeczą, i dopiero Swirski mimowoli nauczył ją zastanawiać się nad nim. Obecnie też przyjęła go uprzejmie i, po wypłaceniu mu należności, głosem wprowadzie zimnym i obojętnym, jakim posługiwała się zwykle, ale w wyrazach bardzo uprzejmych wyraziła mu żal, że zamierzony wyjazd jej z Monte Carlo, który zapewne wkrótce nastąpi, staje się przeszkodą do dalszych między nimi stosunków.

Na to Kresowicz schował mechanicznie pieniądze do kieszeni i odrzekł:

— Oświadczyłem pani wczoraj sam, że nie będę dłużej uczył Romulusa i Remusa.

— Właśnie, to mnie pociesza — odpowiedziała, podnosząc głowę.

Widocznie pragnęła przynajmniej na początek utrzymać rozmowę w tonie ceremonialnym i narzucić ów ton Kresowiczowi. Ale na niego dość było spojrzeć, by wyczytać, że ma nieugięte postanowienie wypowiedzieć wszystko, co wypowiedzieć zamierzył:

— Pani mnie zapłaciła prawdziwymi pieniędzmi — rzekł — więc niech mi pani nie dodaje na drogę fałszywych.

— Jak to pan rozumie?

— Rozumiem tak — odrzekł dobitnie — że ani pani nie rozstaje się ze mną z powodu wyjazdu, ani ja nie dlatego podziękowałem za służbę. Powód jest inny, a jaki, to pani wie równie dobrze, jak ja.

— Jeśli wiem, to być może, że sobie nie życzę o nim ni słyszeć, ni mówić — odrzekła z wyniosłością pani Elzenowa.

On zaś zbliżył się o krok do niej, cofając przytem w tył ręce i wyciągając naprzód głowę, niemal groźną.

— A trzeba! — rzekł z naciskiem — najprzód dlatego, że za chwilę pójdę sobie precz, a powtóre, z innych jeszcze przyczyn, o których się pani dowie jutro.

Pani Elzenowa wstała ze zmarszczoną brwią i w nieco teatralnej postawie obrażonej królowej:

— Co to znaczy?

Lecz on przybliżył się jeszcze więcej, tak, że twarz jego znalazła się zaledwie o kilka cali od jej twarzy — i począł mówić ze skupioną energią.

— To znaczy, że powinienem być pani i waszej całej sfery nienawidzić, a pokochałem panią. To znaczy, że dla pani we własnym sumieniu spodlił, za co sobie karę wymierzę. Ale właśnie dlatego nie mam nic do stracenia i pani musisz mi za moją krzywdę zapłacić, bo inaczej będzie nieszczęście!

Pani Elzenowa nie przestraszyła się, albowiem zgoła nie bała się mężczyzn. Nie bała się także suchot Kresowicza, gdyż miejscowy lekarz uspokoił ją był swego czasu pod tym względem zupełnie. Rzeczywistem było tylko jej zdumienie, zaś gniew i przestach czemś pozornem. W sercu jej zbudził się nagle podziw: „*Mais c'est un vrai oiseau de proie*, który gotów mnie rozszarpać!”... Dla tej natury obytej z zepsuciem a awanturniczej, wszelka awantura, zwłaszcza schlebająca jej kobiecej miłości własnej, miała niewypowiedziany urok. Przytem zmysł moralny jej nie przerażał się byle czem. Gdyby Kresowicz błagał ją o jedną minutę szczęścia, o prawo ucałowania brzegu jej sukni, z pokorą, ze łzami i na kolanach, byłaby go kazała wyrzucić za drzwi. Ale ten człowiek groźny i niemal szalony, ten przedstawiciel sekty, o której strasliwej energii opowiadano w jej sferze bajeczne rzeczy, wydał jej się czemś tak demonicznym, tak odmiennym od wszystkich ludzi, których dotąd widziała, że ogarnął ją wprost zachwytem. Nerwy jej chciwe były nowości. Pomyślała też, że, w razie jej oporu, awantura może przybrać rozmiary całkiem nieprzewidziane i przerodzić się w skandal, albowiem szaleniec ten istotnie gotów był na wszystko.

Kresowicz zaś mówił dalej, oblewając jej twarz gorącym oddechem.

— Kocham, a nic nie mam do stracenia! Straciłem zdrowie, zgubiłem przyszłość i spodliłem się!... Nie mam nic do stracenia! — rozumie pani? Wszystko mi jedno, czy tu na twoje wołanie wpadnie dziesięciu, czy stu ludzi... Ale dla pani to nie wszystko jedno! Potem odejdę — i tajemnica zginie — przysięgam!

Pani Elzenowej chodziło już tylko o zachowanie pozorów, które kobieca hypokryzja zawsze usiłuje zachować, i o oszukanie samej siebie.

Więc zwróciwszy oczy, pełne sztucznego przerażenia, na jego twarz, podobną rzeczywistości do twarzy waryata, spytała:

— Czy pan mnie chce zabić?...

— Chcę zapłaty — nie pieniędzy! — odpowiedział zdławionym głosem.

Poczem zbladł jeszcze bardziej, chwycił ją i objął, a ona poczęła się bronić. Ale czyniła to tak, jak kobieta mdlejąca, której przestach odjął przytomność i siłę.

V.

Swirski, dojechawszy do Ville Franche, wysiadł i udał się do portu, albowiem przyszło mu do głowy powrócić do Nizy łodzią. Jakoż zaraz, przy portowym obrębniku, znalazł znajomego rybaka, który, ucieszony widokiem hojnego gościa, podjął się z prawdziwie liguryjską chełpliwością przewieźć go „choćby na Korsykę i choćby siroko przewracał morze aż do dna”.

Ale tymczasem chodziło tylko o małą przejażdżkę, tem łatwiejszą, że nie było najmniejszego powiewu. Swirski siadł przy sterze i poczęli posuwać się po wygładzonej toni. Po chwili, minawszy zbytkowne, prywatne yachty, zbliżyli się do statków pancernych, których spokojne, czarne ogromy rysowały się twardo i wyraziście w popołudniowym

słońcu. Pokład Formidabla obwieszony już był girlandami różnokolorowych lampek, gwoli jutrzejszego balu, na który Swirski miał dostać zaproszenie. Przy burtach widać było majtków, którzy, widziani z dołu, wydawali się, wobec wielkości statku, pigmejczykami. Żelazne ściany okrętów, kominy, maszty, reje, odbijały się w przezroczej wodzie, jak w zwierciadle. Od czasu do czasu, między pancernikami przesuwała się łódź wojenna, podobna zdala do czarnego owadu, poruszającego regularnie szeregami nóg. Za statkami poczynała się pusta przestrzeń, na której toń, jak zwykle przy wyjściu z portu, mimo braku wiatru, wzdymała się i opadała lekko, to podnosząc, to obniżając łódź, w której siedział Swirski, ruchem zarazem słodkim i szerokim. Zbliżyli się teraz do wyniosłych skał, po prawej stronie przystani, wzdłuż których biegła siwa, zakurzona droga, niżej zaś jeszcze leżał plac mustry, na którym ćwiczyli się w graniu na trąbkach żołnierze. Wreszcie okrążywszy cypel, przy którym bełkotały fale, nachodzące z roztoczy, wypłynęli na otwarte morze.

Za przystanią jest zawsze nieco powiewu, więc rybak począł zaciągać żagiel, Swirski zaś, zamiast skrócić do Nizy, skierował ster na pełnię.

I jechali wprost przed siebie, kołysani falą. Słońce zniżyło się tymczasem ku wieczorowi. Skaliste wiszary i morze stały się czerwone. Wszystko naokół było spokojne, ciche i tak ogromne, że Swirskiemu mimowoli przyszło na myśl, jak małe i liche jest życie wobec tych niezmierności, które otaczały go w tej chwili. Nagle doznał takiego wrażenia, jakby od wszystkich własnych i cudzych spraw odjechał gdzieś bardzo daleko. Pani Elzenowa, Romulus, Remus, wszyscy znajomi i całe to rojowisko nadbrzeżne, pełne gorączki, niepokoju, lichych ambicyi i lichych namiętności, zmalowało mu w oczach. I jako człowiek, przywykły zdawać sobie sprawę z tego, co się w nim dzieje, przestraszył się tego wrażenia, pomyślał bowiem, że gdyby panią Elzenową prawdziwie kochał, toby mu jej obraz nie przesłaniał się, nie mącił, nie zmniejszał się i nie nikał nigdy. Tak bywało dawniej. Swirski przypominał sobie, jak niegdyś, po wyjściu za żonę, którą kochał, wyjeżdżał w podróż zagraniczną. Widział wówczas po raz pierwszy Włochy, Rzym, Sycylię, morze, brzegi Afryki — i żadne wrażenia nie zacierały w jego umyśle pamięci kochanej kobiety. W galeriach florenckich i rzymskich, na morzu i na pustyni ona była z nim, a on odczuwał wszystko przez nią i wszędzie mówił jej, jakby obecnej: „patrz”. Różnica tych dawnych lat od dzisiejszych napełniła go smutkiem.

Ale spokój wieczoru i morza działał jednakże na niego kojąco. Wypłynęli już tak daleko, że brzegi poczęły się przesłaniać. Potem zaszło słońce, błysnęła jedna gwiazda, druga. Delfiny, które o zorzy wieczornej przesuwały się falistym ruchem koło łodzi, łamiąc toń ostrymi grzbietami, pograżyły się teraz w głębinę i znikąd nie dochodził żaden odgłos. Powierzchnia wód wygładziła się tak, że żagiel opadał chwilami zupełnie. Nakoniec z za gór wyszedł księżyc, oblał morze zielonawym blaskiem i rozświetlił dal aż do granic widnokregu.

Rozpoczęła się noc południowa, równie pogodna, jak cicha. Swirski otulił się w pożądaną od rybaka pelerynę i począł myśleć:

„Wszystko, co mnie otacza, jest nie tylko pięknnością, ale i prawdą. Życie ludzkie, jeśli ma być normalne, powinno być zaszczepione na pniu natury, wyrastać z niego, jak gałąź wyrasta z drzewa, i istnieć z mocy tych samych praw. Wówczas będzie prawdziwe, a zatem i moralne, moralność bowiem nie jest w gruncie rzeczy niczem innym, jak tylko zgodnością życia z wszechprawem natury. Oto otacza mnie prostota i spokój, ja zaś pojmuję ją i odczuwam tylko jak artysta, ale nie mam ich w sobie jako człowiek, albowiem i życie moje i tych ludzi, wśród których żyję, odeszło od natury, przestało rządzić się jej prawem, być jej wynikiem, a uczyniło się kłamstwem. Wszystko, co w nas jest — jest sztuczne. Zaginęło w nas nawet poczucie prawd naturalnych. Nasze stosunki oparte są na fałszu, umysły krzywe, dusze i namiętności chore. Oszukujemy jedni drugich i sami siebie, a w końcu nikt nie jest pewien, czy istotnie chce tego, do czego dąży, albo czy potrafi zdążyć do tego, czego chce”.

I nagle, w przeciwstawieniu do tej nocy, do nieskończoności morza, do gwiazd, do całej natury, do jej spokoju, prostoty i ogromu, ogarnęło go poczucie olbrzymiego kłamstwa stosunków ludzkich. Kłamstwem wydała mu się jego miłość do pani Elzenowej, kłamstwem jej stosunek do niego, do dzieci, do innych mężczyzn — do świata, kłamstwem życie na tym jasnym brzegu, kłamstwem teraźniejszość i kłamstwem jego własna

przyszłość: „Otocza mnie, jakby sieć — pomyślał — a ja nie wiem, jak się z niej wyrwać!” I rzeczywiście tak było. Bo jeśli całe życie jest kłamstwem, to co wobec tego począć? Czy wrócić do natury? Rozpocząć jakieś życie nawpół dzikie, nawpół wieśniacze? zerwać z ludźmi i zostać zarazem reformatorem? Swirski czuł się na to zastarym i zbyt sceptycznym. Na to trzeba było mieć w sobie dogmatyzm Kresowicza i odczuwać zło, jako bodziec do walki i reformy, nie zaś jako wrażenie tylko, które jutrzejszy dzień może osłabić! Ale natomiast przyszło Swirskiemu na myśl co innego. Kto nie czuje w sobie dość siły do zreformowania świata, może od niego uciec przynajmniej na jakiś czas i odechnąć. Oto jutro mógłby już być w Marsylii, a w parę dni później, gdzieś, naprawdę na pełnym morzu, o setki mil od brzegu, od chorego życia, od jego kłamstw i oszustw. W ten sposób wszystko byłoby zarazem rozwiązane, a raczej przecięte jak nożem.

I w jednej chwili porwała go taka chęć zmienienia w czyn tego zamysłu, że zaczął zawracać do Nizzy.

— Zwierz, który czuje się w sieci — myślał — przedewszystkiem stara się z niej wyplątać. To jego pierwsze prawo — i to właśnie jest zgodne z naturą, a zatem jest moralne. Moją siecią nie jest tylko pani Elzenowa. Jest nią wszystko razem wzięte. Czuję natomiast doskonale, że zaślubiając ją, zaślubiłbym życie kłamstwa. Wypłynęłoby to nawet może nie z jej winy, ale z konieczności rzeczy — a od takich widoków zawsze wolno uciekać.

I tu począł sobie wyobrażać inne widoki, które miał ujrzeć w ucieczce: rozległe pustynie wodne i piaszczyste, nieznane kraje i ludy, szczerłość i prawdę pierwotnego ich życia, a wreszcie różnorodność zdarzeń i całą odmienną dni przyszłych od teraźniejszych.

— Mnie się to dawno należało! — mówił sobie.

Potem przyszła mu do głowy myśl, która mogła przyjść tylko artyście, że gdy się puszcza „kantem” narzeczoną i wyjeżdża się, na przykład, do Paryża, to postępek taki należy do „złej literatury”, ale gdy się czmycha aż za równik, gdzieś, gdzie pieprz rośnie, wówczas fakt opuszczenia maleje wobec ogromu odległości, rzecz czyni inne wrażenie, przedstawia się oryginalniej, a tem samem jest w lepszym stylu.

— A ja — myślał — pojedę dyabło daleko!

Ale tymczasem zdala pokazała mu się Nizza pod postacią sznura światła. W środku owego sznura budynek zwany „Jetée-Promenade” błyszczał nakształt olbrzymiej latarni. W miarę, jak łódź, popychana mocnym powiewem, zbliżała się do portu, każde z tych światła zmieniało się jakby w ognisty słup, drgający na ruchomej fali pobrażnej. Widok tych blasków otrzeźwił Swirskiego.

— Miasto! — i życie! — pomyślał.

I odrazu wszystkie poprzednie jego zamysły poczęły rozwiewać się jak widziadła, zrodzone z pustki i nocy. To, co jeszcze przed chwilą poczytywał za usprawiedliwione, do przeprowadzenia łatwe i konieczne, obecnie wydało mu się fantazją, pozbawioną treści rzeczywistej, a po części i nieuczciwą. „Z życiem, jakiegokolwiek ono jest — trzeba się jednak liczyć. Kto żył tyle lat pod jego prawami, ile ja żyłem, ten musi się czuć wobec nich odpowiedzialny. Niewielka rzecz powiedzieć sobie: korzystałem z nich, póki mi było z tem dobrze — a z chwilą, gdy mi jest źle, wracam do natury”.

A potem jął myśleć ściślej — już nie o teoriach ogólnych, ale o pani Elzenowej.

— Jakiem prawem bym ją opuścił? Jeśli jej życie było sztucznem i kłamliwem, jeśli jej przeszłość nie jest jasną — to mogłem, wiedząc o tem, nie oświadczać się jej. Obecnie, miałbym prawo zerwać z nią tylko w takim razie, gdybym wykrył w niej zło, które tała, lub gdyby dopuściła się względem mnie jakiejś winy. Ale ona nie zawiniła mi nic. Była ze mną uczciwa i szczerą. Jest w niej jednak coś, co mnie pociąga, bo inaczej nie byłbym się jej oświadczył. Chwilami czuję, że ją kocham, a że czasem przychodzą na mnie wątpliwości — to dłaczegóż ona ma na tem cierpieć. Ucieczka moja byłaby, bądź co bądź, dla niej krzywdą, a kto wie, czy nie ciosem.

Tu zrozumiał, że marzyć o jakiejś ucieczce, a dopuścić się jej — to dla porządnego człowieka dwa bieguny. On mógł sobie tylko marzyć. Prędzej byłby zdolny stanąć do oczu pani Elzenowej i zażądać od niej zwrotu słowa, ale uciekać przed niebezpieczeństwem — było rzeczą wprost przeciwną i jego osobistej i jego szczepowej, nawskróś ucywilizowanej naturze. Zresztą na samą myśl o skrzywdzeniu kobiety poruszyło się w nim serce; a pani Elzenowa stała mu się bliższą i miłszą.

Wpływali już prawie do portu, a po chwili łódź przybiła. Swirski zapłacił i, wsiadłszy do powozu, kazał się wieźć do pracowni. Na ulicy, wśród gwaru świateł, turkotu i ruchu, porwała go znów tęsknota za tą ciszą, za tym nieskończonym rozlewem wód, za tym spokojem i za tą ogromną Bożą prawdą, z którą przed chwilą się rozstał. Wreszcie, niedaleko już pracowni, przyszła mu do głowy następująca uwaga:

— Dziwna rzecz — pomyślał — że ja, którym się tak bał kobiet i tak im nie ufał, wybrałem w końcu kobietę, która więcej może budzić obaw, niż wszystkie inne.

Był w tem jakby jakiś fatalizm, i Swirski znalazłby niewątpliwie w tym zbiegu rzeczy materiał do rozmyślenia na cały wieczór, gdyby nie to, że służący oddał mu zaraz na wstępie dwa listy. W jednym mieściło się zaproszenie na jutrzejszy bal na Formidablu, drugi był od pani Lageat, właścicielki domu.

Gospodyni donosiła mu o swym wyjeździe na parę dni do Marsylii, a zarazem zwiastowała nowinę, że znalazła modelkę, która powinna zadowolnić najwybredniejszy smak — i która przyjdzie jutro.

VI.

Jakoż zapowiedziane cudo przyszło nazajutrz o dziewiątej. Swirski był już ubrany i czekał z niecierpliwością i niepokojem — na szczęście obawy okazały się płonne: pierwszy ruch oka zadowolnił go. Modelka była wysoka, wysmukła, bardzo zręczna, głowę miała małą, twarz drobną, śliczny zarost czoła, długie rzęsy i wielką świeżość cery. Przedewszystkiem jednak Swirskiego zachwyciło to, że posiadała twarz „swoją własną” i w wyrazie coś dziewczęcego. „Ruchy ma szlachetne — pomyślał — i jeśli jest tak zbudowana, jak się wydaje, to «eureka!» Zamówię ją na długo i będę woził z sobą!”

Uderzyła go też jej nieśmiałość i spojrzenie, jakby wystraszone. Wiedział wprawdzie, że modelki czasem udają nieśmiałość. Przypuszczał jednak, że ta nie udaje.

— Jak ci na imię, moje dziecko — spytał.

— Marya Cervi.

— Jesteś z Nizzy?

— Z Nizzy.

— Czy pozowałaś kiedykolwiek?

— Nie, panie.

— Wprawne modelki wiedzą, czego się od nich chce, a z nowicyuszkami jest kłopot. Nie pozowałaś ani razu w życiu?

— Nie, panie.

— Skądże ci się wzięła ochota do pozowania?

Modelka zawahała się z odpowiedzią i zaczerwieniła się nieco.

— Pani Lageat mówiła mi, że będę mogła cośkolwiek zarobić...

— Tak, ale ty się widocznie boisz. Czego się boisz? nie zjem cię! Ile chcesz za posiedzenie?

— Pani Lageat mówiła, że pan płaci pięć franków...

— Pani Lageat myliła się: płacę dziesięć franków.

Na twarzy dziewczyny błysnęła radość, a policzki jej zaczerwieniły się jeszcze silniej.

— Kiedy mam rozpocząć? — spytała nieco drżącym głosem.

— Dziś, zaraz! — rzekł Swirski, ukazując na rozpoczęty obraz. — Ot tam masz parawan; idź, rozbierz się! Do pasa tylko! Będziesz pozowała do głowy, do piersi i części brzucha!

A ona zwróciła ku niemu twarz zdumioną — i ręce opadły jej zwolna wzdłuż sukni:

— Jakto, panie? — spytała zająkliwie, patrząc na niego przestraszonymi oczyma.

On zaś odrzekł trochę niecierpliwie:

— Moje dziecko, ja rozumiem, że pierwszy raz to może być trudno. Ale albo się jest modelką, albo nie. Ja potrzebuję głowy, popiersia i części brzucha, potrzebuję koniecznie, rozumiesz! Przytem wiedz, że w tem niema nic złego, a przedewszystkiem namyśl się, i to prędko, bo jeśli nie zechcesz, to będę szukał innej.

I mówił trochę niespokojnie, albowiem w duszy chodziło mu o to, by właśnie została ta i by nie potrzebował szukać innej. Ale tymczasem nastąpiło milczenie. Modelka pobjadała bardzo widocznie, jednakże po chwili odeszła cicho za parawan.

Swirski zaś począł przysuwać z hałasem stalugi ku oknu i ustawiać je odpowiednio, przyczem myślał:

— Oswoi się i za tydzień będzie się sama śmiała ze swoich skrupułów.

Następnie ustawił sofę, na której miała leżeć modelka, wziął pędzle i począł się niecierpliwić:

— No, a co tam? gotowa jesteś?

Milczenie.

— No! Decyduj się! Cóż to za żarty!

Wtem z za parawana doszedł go głos drgający błagalną prośbą:

— Panie! Ja myślałam, że... U nas w domu bieda, ale tak... ja... nie mogę!... I gdyby pan był łaskaw... do samej głowy... choćby za trzy franki, choćby za dwa... gdyby pan był łaskaw!...

I słowa przeszły w łkanie. Swirski zwrócił się w stronę parawana, wypuścił pędzle, i otworzył usta. Ogarnęło go niesłychane zdumienie, albowiem modelka przemówiła w jego rodowitym języku.

— Pani jesteś Polką? — zawołał wreszcie, zapominając, że przed chwilą mówił jej: ty.

— Tak panie!... To jest... ojciec mój był Włoch, ale dziaduś jest Polak...

Nastało znów milczenie. Swirski ochłonął i rzekł:

— Ubierz się pani... Będziesz pozowała tylko do głowy.

Lecz ona widocznie nie zaczęła się jeszcze rozbierać, albowiem wyszła z za parawana natychmiast, z twarzą zawstydzoną, zmieszaną, pełną jeszcze bojaźni, i ze śladami łez na policzkach.

— Dziękuję panu — rzekła. — Pan jest... Ja przepraszam, ale...

— Niech się pani uspokoi — przerwał Swirski. — Oto krzesło! niech się pani uspokoi. Będzie pani pozowała do głowy... Co u licha! ja nie chciałem pani ubliżyć. Widzi pani ten obraz. Potrzebowałem modelu oto do tej figury... Ale skoro panią to tak kosztuje, to inna rzecz, zwłaszcza, że pani jest Polką.

Jej łzy poczęły nanowo spływać po policzkach, ale spoglądała na niego z wdzięcznością swemi niebieskimi oczyma, on zaś wyszukał butelkę z winem, nalał do pół szklanki i, podając jej, rzekł:

— Niech się pani napije. Mam gdzieś i biszkopty, ale licha wie gdzie. Proszę być spokojną.

I to rzekłszy, spojrział na nią ze współczuciem swemi uczciwymi oczyma, a po chwili rzekł:

— Biedne dziecko!...

Poczem odszedł — i jął znów odsuwać stalugi na dawne miejsce, a jednocześnie mówić:

— Nic dziś z pozowania. Pani jest nadto wzruszoną. Jutro weźmiemy się do roboty od rana, a dziś pogadamy trochę. Kto mógł się domyślić, że Marya Cervi jest Polką. To dziadek pani jest Polak? Tak? Żyje?

— Żyje, ale od dwóch lat nie chodzi.

— Jak się nazywa?

— Orysiewicz — odrzekła, wymawiając trochę z cudzoziemską.

— Znam to nazwisko. Dawno z kraju?

— Dziaduś sześćdziesiąt pięć lat nie był w kraju. Przedtem był w wojsku włoskiem, a potem w banku w Nizy.

— W jakim wieku?

— Dziaduś ma blisko dziewięćdziesiąt.

— Ojciec pani nazywał się Cervi?

— Tak. Ojciec pochodził z Nizy, ale służył także w wojsku włoskiem.

— Jak dawno umarł?

— Piąty rok.

— A matka pani żyje?

— Matka żyje. Mieszkamy razem w starej Nizy.

— To dobrze — rzekł Swirski. — A teraz jeszcze jedno pytanie: czy matka wie, że pani chciała zostać modelką?

Na to dziewczyna odrzekła niepewnym głosem:

— Nie. Mama nie wie. Pani Lageat powiedziała mi, że można w ten sposób zarobić 5 franków dziennie, a że w domu u nas bieda... bardzo wielka... więc... nie miałam innej drogi...

Swirski objął szybko oczyma postać dziewczyny od stóp do głowy i zrozumiał, że słyszy prawdę. O biedzie świadczyło wszystko, począwszy od kapelusza i sukni tak wytartej, a raczej tak zetłalej ze starości, że znać było na niej każdą nitkę, aż do rękawiczek zrudziałych i pocerowanych.

— Niech pani teraz wróci do domu — rzekł — i niech pani powie matce, że jest malarz Swirski, który życzy sobie, by mu pani pozowała do głowy w obrazie. Niech pani doda także, że ten malarz przyjdzie, z polecenia pani Lageat, prosić, by pani przychodziła na pozowanie z matką do jego pracowni, za co ofiaruje dziesięć franków dziennie.

Panna Cervi poczęła dziękować, nie umiając znaleźć słów, płacząc się i mieszając, głosem pełnym zarazem łez i radości. On zaś, widząc, co się w niej dzieje, rzekł:

— Dobrze! dobrze! Za godzinę będę. Pani wydaje mi się bardzo uczciwą dziewczyną. Niech pani ma do mnie ufność. Ja jestem trochę niedźwiedź, ale niejedno umiem zrozumieć. Poradzimy na wszystko i złe przejdzie. Aha! jedna rzecz! Nie chcę pani dawać pieniędzy zaraz, żeby się pani nie potrzebowała z nich tłumaczyć, ale za godzinę przyniosę, ile będzie trzeba na rachunek. Ze mną także bywało dawniej różnie, więc wiem co znaczy prędką pomoc. Nie ma pani za co dziękować, to wszystko jedno! Do widzenia, dziecko — za godzinę!

Jakoż wypytawszy jeszcze o adres, sprowadził dziewczynę ze schodów, a po upływie godziny wsiadł do powozu i kazał się wieźć do starej Nizzy. Wszystko, co się zdarzyło, wydało mu się czemś tak szczególnem, że nie umiał myśleć o niczem innem. Czuł przytem taką radość, jaką czuje każdy porządny człowiek, gdy postąpił tak, jak był powinien i gdy może stać się dla kogoś opatrnością.

— Jeśli to nie jest uczciwa i dobra dziewczyna — myślał o pannie Cervi — to ja jestem najgłupszym mułem w całej Liguryi.

Ale nie przypuszczał, żeby coś podobnego miało się okazać. Owszem był pewien, że trafił na bardzo uczciwą duszę kobiecą i zarazem rad był, że ta dusza zamknięta jest w tak młodem i hożem ciele.

Powóz zatrzymał się wreszcie przed starym i odrapanym domem w pobliżu portu. Odźwierna dość pogardliwie wskazała Swirskiemu mieszkanie pani Cervi.

— Bieda naprawdę! — pomyślał malarz, idąc po stromych schodach na górę.

Po chwili zapukał we drzwi.

— Proszę! — ozwał się głos ze środka.

Swirski wszedł. Przyjęła go kobieta lat koło czterdziestu, czarno ubrana, smągła, smutna, chuda, złamana widocznie życiem, ale nie mająca w sobie nic pospolitego. Obok niej stała panna Marya.

— Wiem wszystko i dziękuję panu z duszy i serca! — rzekła pani Cervi — niech panu Bóg nagrodzi i niech pana błogosławi.

Tak mówiąc, chwyciła jego rękę i pochyliła nisko głowę, jakby chcąc tę rękę ucałować. Lecz on cofnął ją szybko, a następnie, pragnąc rozproszyć jak najprędzej uroczysty nastrój i złamać lody pierwszego poznania, zwrócił się do panny Maryi i grożąc jej palcem, rzekł ze swobodą dawnego znajomego:

— Aha! to ta osóbką wyplotła!...

Panna Marya uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi, trochę smutno, trochę z zaskopotaniem. Wydała mu się śliczną, piękniejszą, niż w pracowni. Dostrzegł także, że pod szyję zawiązała jakąś lila wstążczynę, której nie miała poprzednio — ujęło go to, jako dowód, że widocznie nie uważają go za starego dziada, skoro się do niego stroją.

Tymczasem pani Cervi rzekła:

— Tak, Marynia powiedziała wszystko. Bóg czuwał nad nią i nad nami, że trafiła na takiego człowieka, jak pan.

Na to Swirski rzekł:

— Sama panna Marya mówiła mi o trudnych warunkach, w jakich żyjecie, ale niech mi pani wierzy, że, nawet w podobnych warunkach, mieć taką córkę, to szczęście.

— Tak — odrzekła spokojnie pani Cervi.

— A tymczasem, to ja winienem paniom wdzięczność — bom szukał i szukał na próżno, aż tu spada mi nagle z nieba taka głowa. Teraz już jestem spokojny o mój obraz. Muszę się tylko ubezpieczyć, by mi mój model nie uciekł!

I tak mówiąc, wydobyl trzysta franków, poczem zmusił panią Cervi do przyjęcia ich, zapewniając, że robi na tem ogromnie korzystny interes, bo za obraz weźmie, dzięki panie Maryi, mnóstwo pieniędzy, a następnie oświadczył, że pragnąłby poznać „dziadusia”, albowiem zawsze miał słabość do starych żołnierzy.

Panna Marya, usłyszawszy to, pobiegła do drugiej izby; po chwili rozległ się turkot krzesła na kółkach, i dziaduś, którego widocznie przybrano jeszcze poprzednio, na przyjęcie gościa, w mundur i wszystkie ordery, zdobyte we Włoszech, wjechał do pokoju.

Swirski ujrzał przed sobą twarz starca, zdrobniałą, pomarszczoną, o białych, jak mleko, wąsach i włosach, o oczach niebieskich, szeroko otwartych i patrzących trochę tak, jak oczy dziecka.

— Dziadziu — rzekła panna Marya, pochylając się w ten sposób, aby staruszek mógł widzieć jej usta, i mówiąc nie głośno, ale wolno i wyraźnie — to pan Swirski, rodak, artysta.

Staruszek zwrócił ku niemu swe niebieskie oczy i począł patrzeć na niego uporczywie, a zarazem mrugać, jakby zbierając przytomność.

— Rodak?... — powtórzył — tak!... rodak!...

Poczem uśmiechnął się, spojrzął na córkę, na wnuczkę, znów na Swirskiego, czas jakiś szukał słów, a wreszcie zapytał starym, drżącym głosem:

— A na wiosnę... co?...

Widocznie została mu jakaś jedna myśl, która przeżyła wszystkie inne, ale której nie umiał już wyrazić... Jakoż po chwili wsparł trzęsącą się głowę o fotel i począł patrzeć w okno, uśmiechając się jednak ciągle do owej myśli i powtarzając:

— Tak! tak!... Będzie!...

— Dziaduś tak zawsze!... — rzekła panna Marya.

Swirski spoglądał na niego czas jakiś ze wzruszeniem, pani Cervi zaś poczęła opowiadać o ojcu i o mężu. Obaj brali udział w wojnach przeciw Austrii o niepodległość Włoch. Czas jakiś mieszkali we Florencji i dopiero po zajęciu Rzymu wrócili do Nizy, skąd Cervi był rodem. Tu Orysiewicz oddał córkę młodszemu towarzyszkowi broni, przyczem obaj, dzięki pomocy nicejskich krewnych, umieścili się w banku. Wszystkim szło nieźle, ale, kilka lat temu, Cervi zginął w katastrofie kolejowej, Orysiewicz zaś stracił posadę z powodu starości. Odtąd zaczęła się bieda, jedynym bowiem funduszem, z którego musiało żyć troje osób, było sześćset lirów, które rząd włoski wypłacał staremu żołnierzowi. Było to dość, by nie umrzeć, nie dość, by żyć. Obie kobiety zarabiała trochę szyciem lub nauczaniem, lecz lato, gdy życie obumierało w Nizy, i gdy znikąd nie można było dostać zarobku, pochłaniało szuczupłe ich zapasy. Od dwóch lat stary żołnierz stracił całkiem władzę w nogach, często bywał chory, musiał się leczyć, a przez to było z nimi gorzej i gorzej.

Swirski, słuchając tego opowiadania, uczynił sobie dwie uwagi: najprzód, że pani Cervi gorzej mówi po polsku od córki. Widocznie staruszek, za czasów swej wojaczki, nie mógł poświęcać się tak kształceniu córki, jak się później poświęcał kształceniu wnuczki. Ale druga uwaga była dla Swirskiego ważniejsza. Oto pomyślał, że ta wnuczka, będąc tak śliczną dziewczyną, mogłaby zwłaszcza w Nizy, na tym brzegu, na którym przewalały się rok rocznie próżniacze miliony, rozrzucać złoto pełnemi garściami, trzymać powozy, służbę i mieć wybijany atlasem buduar. Tymczasem chodziła w wytartej sukni i za całą ozdobę posiadała wybladłą lila wstążkę. A więc musiała być jakaś siła, która ją od złego ustrzegła. „Na to — rzekł sobie Swirski — potrzeba dwóch rzeczy: wrodzonej czystej natury i uczciwej tradycji. Niema wątpliwości, że trafił na jedno i na drugie”.

I poczęło mu być między tymi ludźmi dobrze. Zauważył też, że w obu kobietach bieda nie zatarła śladów dobrego wychowania i tej pewnej wykwiutności, która bije od wewnątrz i wydaje się czemś wrodzonym. I matka i córka przyjmowały go jak opatrnościowego gościa, a jednak w ich słowach i obejściu znać było większą radość z poznania zacnego człowieka, niż z pomocy, jaką przynosił. Może te trzysta franków, które zostawił matce, uchroniły całą rodzinę od wielu zmartwień i upokorzeń, a jednak odczuwał, że matka i córka jeszcze bardziej wdzięczne mu są za to, że postąpił w swej pracowni,

jak człowiek z sercem prawem i kłiwem, które zrozumiało dziewczyny boleść, jej wstyd i jej ofiarę. Największą jednak przyjemność uczyniło mu spostrzeżenie, że w nieśmiałości panny Cervi i w jej wdzięcznych spojrzeniach było takie jakieś zakłopotanie, jakie może odczuwać młoda dziewczyna wobec człowieka, względem którego czuje się całą duszą zobowiązana, a który przytem, wedle wyrażenia Swirskiego: „nie wyszedł jeszcze z obiegu”. Miał czterdzieści pięć lat i, pomimo młodego serca, zaczynał chwilami o sobie wątpić, więc lila wstążka i owo spostrzeżenie sprawiły mu prawdziwą uciechę. W końcu począł rozmawiać z niemi z takim poszanowaniem i czujnością, jak z kobietami z najlepszego towarzystwa i, widząc, że je tem ujmuje coraz więcej, sam czuł się zadowolony. Na pożegnanie uściśnął obydwom dłonie, a gdy panna Cervi oddała mu uścisk ze spuszczonei powiekami, ale z całą siłą swej ciepłej, młodej ręki, wyszedł trochę odurzony i z głową tak pełną ślicznej modelki, że woźnica powozu, do którego wsiadł, musiał mu po dwakroć zadawać pytanie, gdzie go ma odwieźć.

Po drodze myślał nad tem, że jednak nie wypada dorabiać do nawpół odkrytego ciała głowy „panny Maryi” i począł w siebie wmawiać, że nawet dla obrazu lepiej będzie, gdy na pierś śpiącej dziewczyny rzuci jaką lekką draperyę.

— Wróciwszy, sprowadzę pierwszą lepszą modelkę, przykryję ją i zaraz to przerobię, tak aby jutro zastały rzecz gotową — mówił sobie.

Poczem przyszło mu do głowy, że jednak takiej modelki, jak panna Cervi, nie będzie mógł wynająć na stałe, by ją woził z sobą — i na tę myśl ogarnął go żal.

Ale tymczasem powóz stanął przed pracownią. Swirski zapłacił i wysiadł.

— Depesza dla pana! — rzekł mu w bramie odźwierny.

A malarz zbudził się jak ze snu:

— Aha! — rzekł — dobrze! dawaj!

I wzięwszy depeszę z rąk stróża, otworzył ją niecierpliwie.

Ale zaledwie rzucił na nią oczyma, w twarzy odbiło mu się zdumienie i przestrasz, telegram bowiem brzmiał jak następuje:

„Kresowicz zastrzelił się przed godziną. Przybywaj.

Helena”.

VII.

Pani Elzenowa wyszła do Swirskiego z twarzą pomieszaną i rozdrażnioną, z oczyma suchymi, ale zaczerwienionymi jakby od gorączki i pełnymi zniecierpliwienia.

— Czy nie odebrał pan jakiego listu? — spytała pośpiesznie.

— Nie. Odebrałem tylko pani depeszę. Co za nieszczęście!

— Myślałam, że może do pana pisał.

— Nie. Kiedy się to stało?

— Dziś rano usłyszeli wystrzał w jego pokoju. Służba wbiegła i zastała go nieżywego.

— I to tu, w hotelu?

— Nie. Na szczęście, wczoraj przeniósł się do Condamine...

— A co za powód?

— Albo ja wiem! — odrzekła z niecierpliwością.

— Bo, o ile słyszałem, nie grywał.

— Nie. Znaleziono przy nim pieniądze.

— Wszak wczoraj pani uwolniła go od obowiązków?

— Tak, ale i na jego własne żądanie.

— Czy nie wziął tego do serca?

— Czy ja wiem! — powtórzyła gorączkowo. — Jeśli chciał to zrobić, mógł sobie przedtem wyjechać. Ale to był waryat — tem się wszystko tłómaczy! Czemu sobie na przód nie wyjechał?

Swirski spojrzął na nią przeciągle.

— Niech się pani uspokoi — rzekł.

Lecz ona, myśląc się co do znaczenia jego słów, odrzekła:

— Bo ile w tem przykrości dla mnie, a, ile może być kłopotów! Kto wie, czy nie będę musiała składać jakich objaśnień, świadectw... czy ja wiem!... Co za fatalna historia!... W dodatku będą i ludzkie gadania... Pierwszy Wiadrowski!... Ja chciałam jednak pana prosić, by pan między znajomymi mówił, że ten nieszczęśliwy zgrał się, że przegrał jakieś i moje pieniądze, i że to jest powód jego postępuku. Gdyby przyszło mówić przed sądem, lepiej o tem nie wspominać, bo mogłoby się wykryć, że to nieprawda; ale przed ludźmi tak trzeba... Żeby był sobie pojechał, chociaż do Mentony, albo do Nizy! Przytem Bóg raczy wiedzieć, czy on tam czego nie napisał przed śmiercią umyślnie, żeby się na mnie zemścić... Niechże jaki list pośmiertny dostanie się do gazet!... Od takich ludzi wszystkiego można się spodziewać. Chciałam i tak stąd wyjechać, a teraz muszę...

Swirski patrzył coraz uważniej naj ej gniewną twarz, na zaciśnięte usta; a wreszcie rzekł:

— Niesłychana rzecz!...

— Prawdziwie niesłychana! — odpowiedziała pani Elzenowa. — Czy to tylko nie powiększy ludzkich gadań, jeżeli wyjedziemy stąd zaraz jutro?

— Nie sądzę — rzekł Swirski.

I począł wypytywać o hotel, w którym zastrzelił się Kresowicz, a następnie oświadczył, że pójdzie na miejsce zasięgnąć od służby wiadomości i zająć się nieboszczykiem.

Lecz ona poczęła go powstrzymywać z niezwykłą uporczywością, aż w końcu rzekł:

— Pani! przecie to nie pies, tylko człowiek, i należy go przynajmniej pochować.

— Ktoś go i tak pochowa — odrzekła.

Swirski jednak pożegnał się i wyszedł. Na schodach hotelu przeciągnął ręką po czole, następnie nakrył kapeluszem głowę i powtórzył:

— Niesłychana rzecz!...

Wiedział on z doświadczenia, do jakiej miary dojść może ludzki egoizm; wiedział również, że kobiety w egoizmie, tak jak i w poświęceniu przechodzą zwykłą miarę męską; przypomniał sobie, że w życiu spotykał już podobne typy, w których pod zewnętrzną warstwą poluru tkwiło grube, zwierzące samolubstwo i w których wszelki zmysł moralny kończył się tam właśnie, gdzie zaczynał się osobisty interes — a jednak pani Elzenowa potrafiła wprowadzić go w zdumienie. „Toż — mówił sobie — ten nieszczęśnik był nauczycielem jej dzieci, żył z nią pod jednym dachem i kochał się w niej... A ona? Żeby choć słowo litości, współczucia, zająć! Nic i nic! Zła na niego, że jej narobił kłopotu, że nie wyjechał dalej, że jej popsuł sezon, że ją naraził na prawdopodobne stawiennictwo w sądzie i na gadania ludzkie, a zresztą, do głowy jej nawet nie przyszło pytanie, co się z tym człowiekiem działo, dlaczego się zabił, i czy nie dla niej? I w rozdrażnieniu zapomniiała nawet o tem, że się przede mną zdradza, i że, jeśli nie przez serce, to przez rozum powinna była przedstawić mi się inaczej. Ach, co za duchowa barbarzyńca! Pozory i pozory, a pod francuskim gorsetem i akcentem bezdusność i pierwotna murzyńska natura prawdziwej Chamitki! — cywilizacya przyczepiona do skóry, jak puder!... Toż ta kobieta każe mi jeszcze rozgadywać, że on przegrał jej pieniądze... Tfu! Niechże to piorun trzaśnie!”

Tak rozmyślając i klnąc, doszedł do Condamine, gdzie łatwo znalazł hotelik, w którym wypadek miał miejsce. W pokoju Kresowicza zastał lekarza i urzędnika sądowego, którzy radzi byli z jego przybycia, spodziewali się bowiem, że Swirski potrafi dać im jakiegokolwiek wskazówki, dotyczące zmarłego.

— Samobójca — rzekł urzędnik — zostawił kartkę z rozporządzeniem, by go pochowano nie inaczej, jak we wspólnym dole, oraz, by pieniądze, jakie się przy nim znajdują, odesłać do Zurichu, pod wskazanym adresem. Zresztą, spalił wszystkie papiery, jak to poświadczają ślady w kominku.

Swirski spojrział na Kresowicza, który leżał na łóżku z otwartymi, przerażonemi oczyma i z ustami, złożonemi jak do gwizdania.

— Nieboszczyk uważał się za nieuleczalnie chorego — rzekł — sam mi o tem mówił i prawdopodobnie dlatego odebrał sobie życie. Do domu gry nie zachodził nigdy.

Poczem jął opowiadać wszystko, co o Kresowiczu wiedział, a następnie zostawił tyle pieniędzy, ile było potrzeba na osobną mogiłę i wyszedł.

Po drodze przypomniał sobie, co mu Kresowicz mówił w Nizy o mikrobach, oraz jego odpowiedź, daną Wiadrowskiemu, że zapisuje się do stronnictwa „milczących”, i doszedł do przekonania, że młody student istotnie nosił się już oddawna z zamiarem odebrania

sobie życia i że główną przyczyną jego postępków było przeświadczenie, że i tak jest na śmierć skazany.

Rozumiał jednak, że mogły być i inne przyczyny uboczne, a między niemi nieszczerliwa miłość do pani Elzenowej i rozstanie się z nią. Myśli te napełniły go smutkiem. Trup Kresowicza, z ustami, złożonemi do gwizdania i z przedśmiertnym przerażeniem w oczach, nie schodził mu z pamięci. Pomyślał, że jednak w tę straszną noc nikt nie pogrzeże się bez trwogi, że życie całe, wobec konieczności śmierci, jest jedną ogromną, tragiczną niedorzecznością, i powrócił do pani Elzenowej w wielkiem pognębieniu ducha.

Lecz ona odetchnęła głęboko, dowiedziawszy się, że Kresowicz nie zostawił żadnych papierów. Oświadczyła, że pośle także, ile będzie trzeba, na jego pogrzeb i teraz dopiero poczęła mówić o nim z pewną litością. Napróżno jednak usiłowała zatrzymać na parę godzin Swirskiego. Malarz odpowiedział, że nie umiałby dziś być sobą i że musi stanowczo wracać do domu.

— Ale wieczorem zobaczymy się przecie? — rzekła, podając mu rękę na pożegnanie — ja miałam nawet zamiar wpaść wieczorem do Nizy i pojechać razem z panem...

— Dokąd? — spytał ze zdziwieniem Swirski.

— Czy pan zapomniał? Na Formidabla...

— Ach! To pani jedzie na ten bal?

— Żeby pan wiedział, jak mi to ciężko, zwłaszcza po tak przykrym wypadku, toby pan płakał nade mną... Mnie tego biedaka przecie także żal... Ale trzeba!... trzeba choćby dlatego, żeby ludzie nie robili jakichś przypuszczeń...

— Tak? do widzenia! — rzekł Swirski.

I w chwilę później, siedząc w wagonie, mówił sobie:

— Jeśli pojedę z tobą na Formidabla, albo gdziekolwiek, to jestem zdechłym krabem!

VIII.

Nazajutrz jednak z weselszem już sercem przyjmował panią Cervi i pannę Marynię. Na widok ślicznej, świeżej twarzy dziewczyny ogarnęła go nawet radość.

W pracowni było już wszystko przygotowane, stalugi zatoczone, sofka dla modelki wysunięta i przykryta odpowiednio. Pani Lageat otrzymała najsurowszy rozkaz niewpuszczania nikogo, choćby do pracowni zgłosiła się „sama królowa Wiktorya”.

Swirski to rozsuwał, to zsuwał zasłony, przykrywające okno w pułapie — lecz ciągnąc za sznury, spoglądał ustawicznie na swoją wdzięczną modelkę.

Tymczasem panie Cervi zdjęły kapelusze i panna Marya zapytała:

— Co teraz trzeba robić?

— Teraz trzeba przede wszystkim rozpuścić włosy — rzekł Swirski.

I zbliżył się ku niej, ona zaś podniosła obie ręce do głowy. Widać było, że ją to wstydzia i wydaje jej się dziwnem, ale zarazem miłem. A Swirski patrzył na jej zmieszaną twarz, na spuszczone powieki, na przegiętą w tył postać, na wykwintny rysunek bioder — i mówił sobie, że w tym wielkim śmietniku nicejskim odkrył podwójną, prawdziwą perłę.

Włosy spadły po chwili na ramiona. Panna Cervi potrząsnęła głową, chcąc je rozproszyc i wówczas pokryły ją zupełnie.

— *Corpo Dio!* — zawołał Swirski.

Poczem przyszła kolej na czynność jeszcze trudniejszą, a mianowicie na układanie modelki. Swirski widział doskonale, że serce w dziewczynie bije żywiej, że pierś jej porusza się szybciej, a policzki pałają, że musi się przezwyciężać i zwalczać w sobie instynktowy opór, z którego sama nie umie zdać sobie sprawy, a jednocześnie poddaje się z jakimś niepokojem, podobnym do nieświadomionej rozkoszy.

On mówił też sobie: „Nie! to nie zwykła modelka, to wcale co innego — i ja też nie patrzę na nią, jakby patrzył tylko malarz”. Jakoż czuł się także zakłopotany i palce drżały mu nieco, gdy jej układał głowę na poduszce, chcąc jednak wyprowadzić z kłopotu i ją i siebie, począł mówić do niej żartobliwie, udając zrzędę:

— Niechże pani leży spokojnie! Tak! Przecie i dla sztuki trzeba coś zrobić. O, teraz doskonale! Jak to się ten profil ślicznie rysuje na czerwonym tle. Gdyby pani mogła go widzieć! Ale nic z tego! Nie wolno się uśmiechać... Trzeba spać! Zaraz idę malować.

I poszedł malować, a przytem swoim zwyczajem jął gawędzić, rozpowiadać i rozpytywać panią Cervi o dawniejsze czasy. Dowiedział się od niej, że »Marynia«, rok temu, miała korzystną posadę lektorki u hrabiny Dziadzikiewicz, z domu Atrament, córki wielkiego przemysłowca z Łodzi, Atramenta. Ale posada dopóty trwała, dopóki pani Dziadzikiewicz nie dowiedziała się, że i dziad i ojciec Maryni służyli w wojsku włoskiem. Wielkie to było zmartwienie, gdyż marzeniem i matki i córki było, by Marynia mogła zostać lektorką przy jakiej damie, stale zimującej w Nizy, bo w takim razie nie potrzebowałyby się rozłączać.

W Swirskim tymczasem zbudził się malarz. Marszczył brwi, skupiał się, patrzył przez trzonek od pędzla na leżącą dziewczynę i malował zawzięcie. Od czasu do czasu jednak kładł paletę i kij malarski, zbliżał się do modelki i, biorąc ją lekko za skronie, poprawiał położenie jej głowy. Wówczas pochylał się nad nią niżej może, niż tego interesy sztuki wymagały, i, gdy ciepło jej młodego ciała poczynalo na niego bić, gdy patrzył na długie rzęsy jej oczu i nieco rozchylone usta, to dreszcz przechodził mu przez kości, palce poczynaly drżeć nerwowo, a w duszy wołał na się:

— Trzymaj się stary! Co u licha! — trzymaj się!

Podobała mu się poprostu z całej duszy. Uszczęśliwiała go zarazem nad wszelki wyraz jej zmieszanie, jej rumieńce, jej nieśmiałość, a jednak niepozabawione pewnej dziewczęcej zalotności spojrzenia. Dowodziło mu to wszystko, że i ona nie poczytuje go za starego. Czuł, że i on podoba się jej również. Musiał tam dziadek opowiadać jej swego czasu niebywale rzeczy o swych ziomkach, i może rozmarzył ją, a oto zaszedł jej wreszcie drogę jeden — nie bylejak — pocziwy, sławny, który w dodatku zjawił się, jak w bajce, w chwili największej potrzeby, z pomocą i zacnem sercem. Jakże nie miała czuć dla niego sympatyj i patrzeć na niego z zajęciem i wdzięcznością?

Wszystko to sprawiło, że Swirskiemu spłynął czas do południa tak, że ani się spostrzegł. Ale o południu pierwsza panna Marya oświadczyła, że muszą wracać, bo dziadus został sam, a czas pomyśleć o jego śniadaniu. Swirski począł prosić ich, by przyszły popołudniu. Jeśli nie chcą zostawiać staruszka samego, to może mają kogo znajomego, któryby zgodził się zostać przy nim przez dwie popołudniowe godziny... Możeby odzwrotna domu, może jej mąż lub ktokolwiek z rodziny? Tu chodzi o obraz! Dwa posiedzenia dziennie byłyby dla obu stron korzystne. Gdyby znalezienie dozoru dla dziadusia pociągało za sobą jakieś koszta, on, Swirski, uważałby sobie jeszcze za łaskę, gdyby wolno było mu je ponieść, albowiem przedewszystkiem chodzi mu o obraz.

Dwa posiedzenia były istotnie dla pani Cervi zbyt korzystne, aby, wobec biedy w domu, mogła się na nie nie zgodzić! Stało się więc na tem, iż o drugiej przyjdą znowu. Tymczasem uszczęśliwiony Swirski postanowił odprowadzić je do domu.

W bramie spotkała ich gospodyni, która wręczyła Swirskiemu pęk mszystych róż, mówiąc, że przywieźli je dwaj mali śliczni chłopcy, wraz z dziwnie ubranym służącym, i chcieli koniecznie wejść do pracowni, ale ona, pomna na rozkaz, nie chciała ich wpuścić.

Swirski odpowiedział, że dobrze zrobiła, poczem wzięwszy różę, oddał je wszystkie pannie Cervi. Po chwili znaleźli się na Promenade des Anglais. Swirskiemu Nizza wydała się tak ładna i ożywiona, jak nigdy. Pstrocizna i gwar na »Promenadzie«, które dawniej go gniewały, poczęły go bawić. Po drodze ujrzał Wiadrowskiego i de Sintena, którzy zatrzymali się na jego widok. Swirski skłonił się i przeszedł, ale przechodząc, zobaczył, jak de Sinten wsadził monokl w oko, aby spojrzeć na pannę Marynię i usłyszał jego pełne zdumienia: „prrristi!” Obaj szli nawet czas jakiś za niemi, ale naprzeciw Jetée-Promenade Swirski wziął powóz i odwiózł panie do domu.

Po drodze brała go ochota zaprosić całą rodzinę na śniadanie, ale pomyślał, że ze staruszką będzie kłopot, i że, wobec ich krótkiej znajomości, panią Cervi mogłoby zdziwić tak nagle zaproszenie. Za to obiecał sobie, że, gdy już dziadus będzie miał zapewniony dozór, wówczas, niby dla zaoszczędzenia czasu, postara się urządzić śniadania w pracowni. Tymczasem, pożegnawszy matkę i córkę przy bramie, sam wpadł do pierwszego lepszego hotelu i kazał sobie dać jeść, a następnie połknął naprędce kilka potraw, nie zdając sobie sprawy z tego, co spożywa. Pani Elzenowa, Romulus i Remus, oraz pęki mszystych róż przemknęły mu kilkakrotnie przez myśl, ale w sposób prawdziwie widziadłowy. Kilka dni temu piękna wdowa i jego do niej stosunek, to dla niego pytania pierwszej wagi, nad którymi niemało nałamał sobie głowy. Pamiętał przecie ową rozterkę wewnętrzną, przez

jaką przeszedł na morzu, wracając łodzią z Ville Franche. Teraz, powiedział sobie: »to dla mnie przestało istnieć, i nie będę o tem więcej myślał«. I nie odczuł najmniejszego niepokoju, najmniejszej zgryzoty. Owszem: zdawało mu się, że spadł mu z ramion jakiś ciężar, który je przygniatał. Wszystkie myśli jego pobiegły natomiast do panny Cervi. Miał jej pełne oczy i pełną głowę, widział ją nanowo mocą wyobraźni, z rozpuszczonymi włosami i przymkniętymi powiekami, a gdy pomyślał, że za godzinę będzie znów dotykał palcami jej skroni, znów pochylał się nad nią i wyczuwał ciepło, bijące od niej, czuł się odurzony, jak winem i po raz drugi zadał sobie pytanie:

— Hej stary, co się z tobą dzieje?...

Lecz wróciwszy do domu, zastał depezę pani Elzenowej: „Czekam o szóstej na obiad”. Swirski zmiął ją i schował do kieszeni, a gdy pani Cervi z córką nadeszły, zapomniał o niej tak zupełnie, że, gdy po skończeniu pracy wybiła piąta, począł namyślać się, gdzie pójść na obiad i był zły, że nie ma co ze sobą wieczorem zrobić.

IX.

Następnego dnia pani Lageat, przyniósłszy do pracowni śniadanie dla trojga osób, oznajmiła, że przed godziną byli znów ciż sami dwaj śliczni chłopcy, tym razem nie z dziwnie ubranym służącym, ale z młodą i piękną panią.

— Młoda pani chciała koniecznie widzieć się z panem, ale ja powiedziałam jej, że pan wyjechał do Antibes...

— Do Tulonu! do Tulonu! — odpowiedział wesoło malarz.

Lecz nazajutrz pani Lageat nie miała komu dać tej odpowiedzi, albowiem przyszedł tylko list. Swirski nie czytał go wcale. Natomiast zdarzyło się tegoż dnia, że, chcąc poprawić „pozycję” panny Maryni, podłożył jej dłonie pod ramiona i unióś ją tak, że piersi ich zetknęły się niemal, a zarazem oddech jej oblał mu twarz. Wówczas ona poczęła się mienić ze wzruszenia, a on powiedział sobie, że, gdyby taka chwila dłużej potrwała, to wartoby za nią oddać życie.

Wieczorem zaś monologował, jak następuje:

— Zmysły grają w tobie, ale inaczej, niż poprzednio, bo tym razem rwie się za nimi i dusza, a rwie się dlatego, że to jest dziecko, które w tym nicejskim „pudridero” pozostało czyste, jak lza. To nawet nie jej zasługa, to natura, ale gdzie znaleźć podobną? Tym razem nie łudzę się i niczego w siebie nie wmawiam, albowiem mówi rzeczywistość.

I zdawało mu się, że ogarnął go jakiś słodki sen. Na nieszczęście, po śnie następuje przebudzenie. Dla Swirskiego przyszło ono w dwa dni później i przybrało kształt jednej więcej depezy, która, wsunięta przez otwór we drzwiach, przeznaczony na listy i gazety, spadła na ziemię w obecności obu kobiet.

Panna Cervi, zabierając się właśnie do rozpuszczenia włosów, spostrzegła ją pierwsza — i podniósłszy, podała Swirskiemu.

Ów otworzył ją niechętnie, spojrzął i na twarzy odbiło mu się pomieszenie.

— Panie wybaczą — rzekł po chwili. — Odebrałem tego rodzaju wiadomość, że zaraz muszę jechać.

— Czy przynajmniej nic złego? — spytała z niepokojem panna Cervi.

— Nie, nie! Ale być może, że na popołudniowe posiedzenie nie będę mógł wrócić. W każdym razie dziś się to zakończy i jutro będę miał spokój.

To rzekłszy, pożegnał je, nieco gorączkowo, ale aż nazbyt serdecznie i po chwili siedział już w powozie, któremu kazał jechać wprost do Monte Carlo.

Minąwszy „Jetée-Promenade”, wydobyl depezę i począł ją nanowo odczytywać. Brzmiała ona, jak następuje:

„Czekam pana dziś popołudniu. Jeśli pociągiem o czwartej nie przyjeżdżesz, wiem, co mam myśleć i jak postąpić.

Morphine”.

Swirski zląkł się poprostu tego podpisu, zwłaszcza, że był pod świeżem wrażeniem wypadku z Kresowiczem: „Kto wie, mówił sobie, do czego może doprowadzić kobietę,

jeśli nie zraniona miłość prawdziwa, to zraniona miłość własna. Nie powinienem był postępować tak, jak postępowałem. Łatwo było odpisać na pierwszy list — i zerwać. Nie godzi się igrzać z nikim, bez względu czy jest zły, czy dobry. Obecnie zerwę stanowczo, ale jechać muszę, nie czekając na pociąg o czwartej”.

I kazał popędzać konie. Chwilami krzepił się nadzieją, że pani Elzenowa w żadnym razie nie targnęłaby się na swoje życie. Wydawało mu się to czemś zupełnie do niej niepodobnym. Lecz chwilami ogarniała go wątpliwość, czy ten sam potworny jej egoizm, zmieniony na obrazę, nie popchnie ją do jakiego szalonego czynu.

Przypomniawszy sobie, że była w jej charakterze i pewna zawziętość i pewna stanowczość — i niemała odwaga. Wzgląd na dzieci powinienby ją wprawdzie wstrzymać, ale czy wstrzyma? czy jej o te dzieci istotnie chodzi? I na tę myśl, co mogłoby się stać, włosy powstawały mu na głowie. Poruszyło się w nim sumienie i chwyciła go znów głęboka rozterka wewnętrzna. Obraz panny Cervi przesuwiał mu się co chwila przed oczyma, budząc jakby żal gorzki i niezmierny. Powtarzał sobie wprawdzie, że jedzie zerwać i że zerwie stanowczo, na dnie jednak duszy czuł ogromny niepokój. Co będzie, jeśli ta kobieta zła, próżna, ale zawzięta, powie mu: „Ty, albo morfina!” I jednocześnie, obok trwogi i niepewności, rodził się w nim niesmak, albowiem wydawało mu się, że tak postawić kwestię mogła chyba jakaś fałszywa bohaterka, należąca do „złej literatury”.

A jednak — co będzie, jeśli ona ją tak postawi? W świecie, zwłaszcza w nicejskim, dużo jest kobiet, należących do „złej literatury”.

Wśród tych myśli i wśród kłębow siewej kurzawy dojechał wreszcie do Monte Carlo i kazał woźnicy zatrzymać się przed hotelem Paryskim. Ale zanim zdążył wysiąść, spostrzegł przy trawniku Romulusa i Remusa, z raketami w ręku, podzuczających piłkę pod dozorem kozaczka, którego pani Lageat nazywała dziwnie ubranym służącym.

Oni też, spostrzegłszy go, podbiegli.

— Dzień dobgy, panu!

— Dzień dobhy!...

— Dzień dobry! Jest mama na górze?

— Nie. *Maman* pojechała na howerze z panem de Sinten.

Nastąpiło milczenie.

— Ach! mama pojechała na rowerze z panem de Sinten! — powtórzył Swirski. Do brze!

I po chwili rzekł:

— Prawda! spodziewała mnie się dopiero o czwartej!

Nagle począł się śmiać:

— Dramat kończy się farsą... Ale to przecie Riwier! Jaki też ze mnie osie!

— Czy pan na mamę zaczeka? — spytał Romulus.

— Nie. Słuchajcie chłopcy: Powiedzcie mamie, że przyjechałem ją pożegnać i że żałuję, że jej nie zastałem, bo dziś wyjeżdżam.

I to rzekłszy, kazał zawrócić do Nizy. Wieczorem jednak odebrał jeszcze depezę, a w niej jedno, jedyne słowo: „Podły”.

I po przeczytaniu wpadł w wyborny humor, albowiem depeza nie była już podpisana: „Morphine”.

X

W dwa tygodnie później obraz przedstawiający Sen i Śmierć, był skończony. Swirski rozpoczął drugi, który chciał nazwać „Euterpe”. Robota mu jednak nie szła. Mówił, że światło jest zaostre — i przez całe posiedzenia wpatrywał się, zamiast malować, w jasną twarzyczkę panny Maryni, niby szukając najodpowiedniejszego dla Euterpy wyrazu. Wpatrywał się tak uporczywie, że aż panna Cervi czerwieniła się pod wpływem jego wzroku, on zaś czuł także w piersiach coraz większy niepokój.

Aż wreszcie któregoś poranku ozwał się niespodzianie jakimś dziwnym, zmienionym głosem:

— Uważam jedną rzecz: że panie ogromnie kochają Włochy...

— I my i dziaduś — odrzekła panna Cervi.

— I ja. Mnie pół życia schodzi w Rzymie i we Florencji. Tam teraz światło nie takie ostre i możnaby po całych dniach malować. O, tak! Ktoby nie kochał Włoch! I wie pani, co ja czasem myślę?

Panna Marynia zniżyła głowę i, rozchyliwszy nieco usta, poczęła patrzeć na niego uważnie, jak czyniła zawsze, słuchając go.

— Ja myślę, że każdy człowiek ma dwie ojczyzny: jedną swoją najbliższą, a drugą: Włochy. Bo tylko zastanowić się, to i cała kultura, i cała sztuka, i cała wiedza, wszystko szło stamtąd... Weźmy ot taki renesans... Prawdziwie!... Wszyscy są, jeśli nie dziećmi, to przynajmniej wnukami Włoch...

— Tak! — odpowiedziała panna Cervi.

On zaś mówił dalej:

— Nie wiem, czym wspominał, że ja mam w Rzymie na via Margutta pracownię, i od czasu, jak tu światło stało się takie ostre, tęsknię do niej... Ot, gdybyśmy tak wszyscy wyruszyli do Rzymu, toby było doskonale!... Potem pojechalibyśmy do Warszawy...

— Na to niema sposobu! — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem panna Marynia.

Lecz on zbliżył się nagle do niej i, wzięwszy ją za ręce, począł mówić, patrząc jej z największą tkliwością w oczy:

— Jest sposób, droga pani, jest sposób! Czy się go pani nie domyśla?...

A gdy pobladła ze szczęścia, przycisnął jej obie dłonie do piersi i dodał:

— Oddaj mi siebie i twoich...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/na-jasnym-brzegu>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Na jasnym brzegu*. Nowela, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1897.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0891-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).